ROCZNIK XI. Sierpień 1907. Nr. 8.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

* Turyn - Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ:

CZCIGODNY JAN BOSKO.

Telegraf przyniósł nam dzisiaj, 24. lipca, z Rzymu pocieszającą wieść o wprowadzeniu sprawy beatyfikacji i kanonizacji Czcigodnego Sługi Bożego, księdza JANA BOSKO, Założyciela pobożnego Zgromadzenia Salezjańskiego, Córek (Sióstr) Marji Wspomożycielki i Pomocników Salezjańskich.

Miłościwy Bóg raczył więc uwielbić tego wiernego Sługę swego na tej ziemi, jak to uczynił, spodziewamy się, również i w niebie. Jemu zatem niech będzie cześć i chwała, i dzięki serdeczne niech będą również naszej słodkiej Matce i Patronce, Najśw. Pannie Marji Wspomożycielce.

Ta błoga wiadomość doszła nas, gdy niniejszy numer był już w stereotypji. Jesteśmy przeto zmuszeni odłożyć do przyszłego numeru bliższe o niej szczegóły.

NOWE DROGI.

Od wychowania dzikich ludów, znających tylko fizyczny rozwój dziecka, aż do średniowiecznego przeciążenia umysłowego żaków, od praktycznej sztuki dawnego bakałarza, aż do wychowania opartego na podstawach naukowych i znajomości psychologji, od czasów, kiedy tradycyjne nauczanie uważano za czynność wyłącznie umysłową i podawano wiedzę we formie suchej i nużącej, aż do chwili, kiedy w nauczaniu wyznaczono pewne miejsce także uczuciu i dbać zaczęto o zainteresowanie przedmiotem — jakie postępy poczyniła pedagogja, ile nowych dróg odkryła tym, którzy się kształcenia dziecka podejmują!

A jednak wszyscy rozumiemy, że tego mało, bardzo za mało. Jesteśmy w okresie niebywałego zamieszania i niepewności. Szukamy dla naszych szkół nowych typów: dotychczasowe szablony uznaliśmy za przeżyte i chcielibyśmy jak najprędzej przekazać je historji. Stąd ta gorączkowa pogoń za nowością, dobra sama w sobie, ale niekiedy dlatego nieszczęśliwa, że bez krytyki stawiamy sobie za wzór wszystko to, co z poza granicy do nas się przedostaje.

Tych wzorów coraz to więcej, coraz to więcej też wątpliwości. Nowe teorje są nieraz sprzeczne, nieraz lokalne do tego stopnia, że żywcem na nasz grunt przesadzone, wyglądają po prostu na karykatury; niekiedy są obce naszej psychologji narodowej, nieraz wrogie naszym wierzeniom religijnym i zasadom moralności.

Właśnie wskutek tej wzmagającej się z dniem każdym wątpliwości trafia się, że widzimy niepewność nawet tam, gdzie wszystko powinno być pewne; boimy się reformy, której konieczność już kwestjonowana być nie może.

Tak n. p. ma się rzecz ze zaznajomieniem się z tą nową gałęzią pedagogji, która zajmuje się dzieckiem rozwijającem się nieprawidłowo z powodu zboczeń umysłowych i psychicznych. Wielu nieufnem okiem spogląda dziś na te teorje dlatego, że do niedawna pedagogja znała tylko dziecko zdrowe, a dziś poczyna myśleć i o chorem, które tak wygląda w klasie, jak karłowata sosenka rosnąca na brzegu pięknego lasu. Z niemałą biedą przetrawili zasady rozwoju indywidualności dziecka, a już spotkali drugą podobną kwestję, spotkali się z różnicą ogromną, jaką pedagogja upatrzyła pomiędzy dziećmi pod względem umysłowym normalnemi a upośledzonemi. Ze zdumieniem dowiedzieli się o nowych wyjątkowych względach i prawidłach, po raz pierwszy usłyszeli, że pedagog ma nie tylko uczyć i kształcić, ale często i leczyć. Dawniej słyszeli, że pedagogja jest córą filozofji, teraz konstatują, że jest siostrą medycyny. Wszystko to wydaje im się czemś bardzo dziwnem, więc przyjmują to nie bez wielu zastrzeżeń.

A jednak tu właśnie zastrzeżeń być nie powinno. Wprawdzie *pedagogja lecznicza* dziś jeszcze w pieluchach, ale już tyle punktów poruszyła i wyświetliła, tyle obaliła na zawsze błędnych mniemań, tyle nowych wprowadziła do nauki zasad, że dzisiejszy pedagog nie może się już pod żadnym warunkiem utrzymać na wysokości swego zadania, jeżeli się z tymi nowymi kierunkami gruntownie nie zapozna.

Obejść się można bez wielu nowości teoretycznych, które naprawdę trudno w głowie do porządku przyprowadzić; jest to nieraz ciężar pamięciowy bez celu, bez pożytku. Ale bez znajomości

metody leczenia pedagogicznego obejść się dziś nie można, bo procent tych zboczeń jest większy, niż dotąd myślano. Obłędy w późniejszem życiu są często skutkiem zaaplikowania szablonu do jednostki, która wymagała odmiennej opieki.

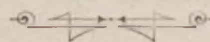
Pedagogowie dzielą się dziś na dwa obozy: nowatorski i reakcyjny. Pierwsi ubóstwiają każdą nowość i pędząc na oślep po ślizkim gruncie innowacji, często potykają się i wywracają koziołki; drudzy, broniąc teorji, według których niegdyś pono lepiej i zdrowiej wychowywano młodzież, stają się męką dzieci i kolegów, aż porwani prądem, któremu się opierali, giną w toni. I tutaj *in medio virtus:* unikać trzeba ostateczności. Nie wszystko, co dawne, jest złe; nie wszystko dobre dlatego, że nowe. Trzeba badać, rozbierać, rozeznawać.

Oświęcim — Młodzież zakładu salezjańskiego przed zakończeniem roku szkolnego 1906-07.

Wyzwalając się ze ślepej zależności od tego, co minęło, nie powinniśmy popaść w gorszą zależność od zagranicy; ratując indywidualność dzieci, nie zaprzedawajmy swojej; dbając o wyrobienie sądu i samodzielności w uczniach, nie grzeszmy bezmyślnością w przejmowaniu się nowemi teorjami.

Nowe drogi powinniśmy znać nie po to, aby się po nich błąkać z uczniami, jak po manowcach niedoświadczony pasterz z trzódką, ale po to, aby śmiało kroczyć tamtędy, którędy najprościej i najpewniej dojść można do celu.

In certis fortiter, in dubiis prudenter: śmiało w rzeczach pewnych, oględnie w wątpliwych. Zasada złota, konieczna przy rozpoznawaniu i przyjmowaniu nowych kierunków pedagogicznych.



POLITYKA SALEZJAŃSKA.



Polityka! A to skaranie boskie! Co to za drażliwy temat! Czy być może, aby Salezjanie mieli coś wspólnego z tą żmiją stugłową?

Jeżeliś o tem łaskawy Czytelniku jeszcze nie słyszał, to warto, abyś się dziś wtajemniczył w intrygi salezjańskie, bo na drugą taką sposobność przyjdzie ci chyba długo czekać. Wykładu podejmuje się wrocławska *Schlesische Zeitung*, która rozpisując się o salezjańskiej uroczystości *Wspomożenia Wiernych*, odprawionej w Oświęcimiu 26. maja b. r., podaje następujące szczegóły:

„... Następnie było polskie kazanie, na którem kaznodzieja powiedział pomiędzy innemi tak: „Wam biednym i uciśnionym, którzy cierpieć musicie za swoje przekonania i skarby po ojcach odziedziczone, my kapłani kościoła świętego pragniemy przyjść z pomocą. W kościele i modlitwie znajdziecie pociechę. Macie obowiązek wychowywać dzieci swoje na szczerze wierzących chrześcijan. Pierwsze słowa, jakie matka do dziecka wypowiada, są słowa w języku ojczystym. O języku ojczystym pamiętajcie! Żadna potęga w świecie nie ma prawa wydzierać Wam języka ojczystego. Jeżeli będziecie obojętni i pozwolicie się obałamucić przez wrogów Kościoła świętego, natenczas przed Bogiem za to kiedyś będziecie odpowiadali i Bóg pokarze was ciężko za grzechy. Tylko w ojczystym języku możecie pojąć należycie prawdy religijne.

„Nie zważajcie na Niemców! Oni chcą was pozbawić języka ojczystego i wiary katolickiej i zlutrzyć was. W szkole chcą wasze dzieci uczyć katechizmu po niemiecku; tego dzieci nie rozumieją. Macie więc obowiązek dopełnić w domu to, co dotąd było zaniedbywane, stawić czoło takim gwałtom ze strony władzy państwowej i żądać tego, co wam się należy, t. j. nauki religji w języku ojczystym.

„Jeżeli są tacy rodzice, którzy nie mają czasu uczyć swych dzieci w domu, natenczas my księża tego zakładu jesteśmy gotowi zabrać dzieci wasze do siebie i wychować je w tych murach klasztornych. Właśnie ze Śląska pruskiego dzieci chętnie do nas przychodzą i tu bywają na dzielnych ludzi wychowywane. Wychowujcie dzieci w prawdziwej religji, którą zrozumieć mogą należycie tylko w języku ojczystym."

Tak to Salezjanie w Oświęcimiu pracują i takie wpływy wrogie niemczyźnie wywierają, buntując Polaków z Górnego Śląska przeciwko rządowi pruskiemu i podburzając dzieci do nieposłuszeństwa."

Tyle *Schlesische Zeitung*.

A co? Osłupiałeś, dobry Czytelniku? Ciekawym bardzo, co sobie w tej chwili myślisz. Jeżeli jesteś zakonnikiem, powiesz może ze skwaszoną miną, że się w Zgromadzeniu Salezjańskiem coś psuje. Jeśliś pedagogiem, oburzysz się na tych wychowawców, którzy doprowadzając młodzież szkolną do rozpolitykowania, dopuszczają się okropnej zbrodni na szkodę społeczeństwa. A możeś kapłanem i wtedy niedobrze ci się zrobi, że z ambony wzywano do oporu wobec władz politycznych i nazwiesz to conajmniej nieroztropnością.

Miły Czytelniku, muszę cię uspokoić. Najprzód zapamiętaj sobie dobrze, że są gazety do ostateczności rozsierdzone na Polaków. Ile razy piszą o Polsce, popadają w tak wściekły rozstrój nerwowy, że wszystko źle widzą, inaczej pojmują, naopak słyszą, zmyślają, cyganią. Jest to skutek ciężkiej i nieuleczalnej choroby, zwanej hakatyzmem. *Schlesische Zeitung* nie tylko do nich należy, ale na Śląsku trzyma prym pomiędzy niemi.

Wiedz dalej, Czytelniku złoty, że w przytoczonym powyżej ustępie niema ani słówka prawdy. Nie myśl, że przesadzam! Broń Boże! wyrażam się z całą ścisłością: **ani słówka prawdy.** Ile słów, tyle kłamstw! Była już o tem mowa w poprzednim numerze *Wiadomości Salezjańskich* (str. 195).

Nie po raz pierwszy oświęcimski zakład salezjański staje kością w gardle redaktorom czujnej gazety wrocławskiej. W lutym 1903 r. wzięli go w podobny sposób na ząb, aż krzykami swymi zaalarmowali wielką część prasy niemieckiej. Długo nie mogli się uspokoić: widmo polityki salezjańskiej prześladowało ich na każdym kroku, straszyło we dnie i w nocy,

chociaż spokojniejsze pisma niemieckie lały im na łby porządne kubły zimnej refleksji i docinków.

Czy polityka salezjańska naprawdę tak czarna, krętna, groźna?

Kwestja ta powstała w r. 1860, gdy władze piemonckie poczęły podejrzywać księdza Bosko o wchodzenie w zmowy polityczne z wrogami zjednoczenia Włoch. Już wtedy głośną się stała gorliwość szpiclów kwestury turyńskiej a pisma masońskie i brukowe długo ujadały na Oratorjum, pomimo że ani rewizje, ani dochodzenia, ani przesłuchiwania dzieci nie wykryły najmniejszego śladu zbrodni. Klasyczne pozostaną słowa ówczesnego portjera zakładu, który przed komisarzami policyjnymi określił politykę księdza Bosko jako politykę biedaka, który cały dzień suszy sobie głowę nad tem, skąd wziąć chleba dla głodnych dzieci. Skończyło się na tem, że denuncjatorzy dostali od ministra porządne bury a ks. Bosko szedł dalej swoją drogą.

Od tego czasu atoli polityka ks. Bosko i Salezjanów powraca perjodycznie na szpalty pism antyreligijnych. Pochopem do tego bywają rzeczy zupełnie obojętne i niewinne. Gdyby Salezjanie naprawdę mieszali się do polityki, dawno byliby wpadli w dołki, które pod nimi kopali wrogowie różnych partji: od tego nie byłaby ich ustrzegła żadna przezorność. Że dotychczas mają pod tym względem sumienie spokojne i nie potrzebują się żadnego kroku wstydzić, to właśnie dowód najlepszy, że zgodnie z wolą fundatora **nie politykują i polityki w swych zakładach nie cierpią.** Gdyby inaczej było, źleby na tem wyszli, mając zakłady w 27 państwach o dążnościach politycznych często wręcz jedne drugim przeciwnych.

Tej zasadzie nie sprzeniewierzył się zakład oświęcimski. Bo cóż z tego, że polski? że po polsku wychowuje? Wszak nie powstał dla Chunchuzów—, ale dla młodzieży, która się rodziła i rośnie na ziemiach Piastów i Jagiellonów. Czy to zbrodnia?

Gdyby Salezjanie mieli w Berlinie zakład dla Niemców, wychowywaliby ich po niemiecku, tak jak w Lublanie wychowują po słowieńsku, w Londynie po angielsku, w Rzymie po włosku, w Madrycie po hiszpańsku, w Lisbonie po portugalsku. **To nie polityka,** tego wymaga prawo przyrodzone, to akt sprawiedliwości, jedyna dobra metoda. Na taki porządek rzeczy może napadać tylko szowinista, który patrjotyzm swój zasadza na nienawiści do tego, co tchnie polskością.

Wiadomo, poco *Schlesische Zeitung* powtarza bajkę o politycznym smoku z nad Soły, poco zmyśla całe kazania agitacyjne i wpycha je księżom salezjańskim w usta. Chodzi jej o to, aby wobec rządu oszkalować Zgromadzenie czynne na ziemi polskiej, aby przeciw niemu podburzyć opinię publiczną w Prusach, aby zgłębić dół, który od lat kopie pomiędzy Salezjanami a Niemcami. To rzeczy tak widoczne, że lepsza prasa niemiecka przyjęła to bezczelne wystąpienie z oburzeniem.

Tak dostała za swoje redakcja hakatystyczna. Chciała zagrać pobudkę patrjotyczną, porwać za sobą całą prasę państwową i na jej czele przebrnąć przez Wisłę i roznieść zakład oświęcimski — a tymczasem popsuła humor w Niemczech, bo jej krzyki tak podziałały na nerwy czytelników,

jak zgrzyt żelaza po szkle.



Salezjanie w Przemyślu.

Chciał Bóg dobrotliwy, aby po Oświęcimiu i Daszawie przygarnął synów księdza Bosko starodawny i gościnny Przemyśl. Zgromadzenie Salezjańskie zawdzięcza tę nową fundację staraniom i chojności J. E. Najprzew. *ks. biskupa Sebastjana Pelczara* i Przew. *ks. infułata Krementowskiego*, którym tą drogą zasyła najszczersze i publiczne podziękowanie.

Działalność, jaką Salezjanie rozwiną na nowym posterunku, wzorować się będzie na przykładach ich czcigodnego Założyciela, ks. Bosko, który przed 66-ciu laty rozpoczął swe kolosalne przedsięwzięcie od tego, że w niedziele i święta zbierał młodzież turyńską w t. zw. *kaplicy świątecznej.* Urządzenie jej tak opisuje kronikarz owych czasów homerycznych:

,,W każdą niedzielę i święto wczas rano otwierano kaplicę i rozpoczynało się słuchanie spowiedzi, które zazwyczaj przeciągały się aż do Mszy św. Suma była zwykle o godzinie 8-ej rano, lecz dla wygody wszystkich tych, którzy pragnęli przystąpić do Sakramentu Ołtarza, odwlekano ją nieraz aż do godziny 9-ej lub jeszcze później, gdyż ks. Bosko, zwłaszcza kiedy był sam jeden, nie mógł wszystkiemu naraz podołać. W czasie Mszy św. jeden ze starszych i roztropniejszych chłopców sprawował urząd

dozorcy, bacząc, by zachowywano porządek; inny znowu odmawiał na przemian z młodzieżą głośno modlitwy i przygotowanie do Komunji św.

,,Po Mszy św. wstępował ks. Bosko na nizką ambonę i miał krótkie kazanie. Początkowo wykładał ewangielję, przypadającą na każdą niedzielę i święto; później jednakże rozpoczął wykład historji świętej i dziejów Kościoła katolickiego, które to wykłady miewał odtąd stale w każde święto przez przeciąg 20 lat z górą. Było to opowiadanie proste i przystępne, przeplatane barwnym opisem zwyczajów staroświeckich w różnych krajach i u różnych narodów, począwszy od czasów biblijnych i ludu wybranego, poprzez wszystkie okresy dziejów Kościoła aż do wieków nowszych. Te nauki podobały się nadzwyczaj zarówno wielkim, jak małym, a ucząc ich jednocześnie zasad wiary św. i historji, nadawały się więcej niż wszystko inne do wlania w serca młodziane wstrętu do występku i zamiłowania do cnoty.

,,Po nabożeństwie, wyszedłszy z kaplicy i odbywszy krótką rekreację, rozpoczynano szkółkę niedzielną, uczono się czytać, pisać, rachować, śpiewać z nut, co wszystko zajmowało czas do południa.

,,Oto w krótkości zajęcia poranne.

,,O pierwszej godzinie po południu zaczynała się ulubiona gra w kręgle, chodzenie na szczudłach, strzelanie z wiatrówek, szermierka na pałasze drewniane i ćwiczenia gimnastyczne. O wpół do 3ej udawała się młodzież do kaplicy, gdzie się odbywał wykład katechizmu.

,,Po nim i po nieszporach następowała nauka, osnuta po większej części na budującym przykładzie, w którym napiętnowany był jakiś występek a zarazem przeciwstawiona odpowiednia cnota. Wreszcie kończyło się nabożeństwo wieczorne odśpiewaniem litanji do Matki Boskiej i udzieleniem błogosławieństwa Najśw. Sakramentem.

Po nabożeństwie zaczynała się rekreacja, w czasie której każdy z uczestników kaplicy świątecznej mógł się zajmować tem, co mu najwięcej przypadało do smaku. Stąd tacy, którzy jeszcze nie umieli modlitw lub nie byli przypuszczeni do Komunji św., chociaż już mieli odpowiednie lata, pobierali oddzielnie naukę katechizmu; inni znowu, obdarzeni z natury świeżym i dźwięcznym głosem, zajmowali się śpiewem lub muzyką; analfabeci (nie umiejący czytać ani pisać) uczyli się sylabizować i stawiać głoski; większa zaś część młodzieży spędzała czas wesoło, zabawiając się, jak się komu podobało: skakaniem, bieganiem do mety, najróżniejszemi grami i t. p.

Szczególniejszy widok przestawiało Oratorjum, gdy je młodzież za nadejściem nocy opuszczała, udając się do domu. Zdawało się wtedy, jak gdyby jakiś potężny magnes przyciągał chłopców do Oratorjum, nie pozwalając im się odeń oderwać. Każdy z osobna życzył księdzu Bosko po sto razy dobrej nocy, a nie mógł na żaden sposób się od niego oddalić. Lubo ich odsyłał do domu, powtarzając: ,,Idźcie już, moje chłopaczki, idźcie! Już czas na was. Nadchodzi noc, a w domu was oczekują,'' to jednak wszystkie jego wzywania były daremne i nikt się nie ruszał. By ich nakłonić do odejścia, trzeba było, ażeby on sam szedł z nimi i odprowadził ich kawał drogi.

,,Działo się to zwykle w następujący sposób:

,,Odmówiwszy modlitwy wieczorne, gromadzili się wszyscy naokoło niego, poczem sześciu najsilniejszych splótłszy ręce, robiło rodzaj siedzenia, na którem chcąc nie chcąc musiał siadać. Tak nosili go wśród śpiewów aż do miejsca zwanego *Rondo*. Tam zsiadał z zaimprowizowanego krzesła, chłopcy śpiewali jeszcze jaką pieśń nabożną, po której ks. Bosko życzył ostatni raz dobrej nocy i dobrego spędzenia następnego tygodnia.

,,W końcu wszystka młodzież wnosiła okrzyk: ,,Niech żyje ks. Bosko! Dobranoc!'' i ginęła w ciemnych ulicach, podczas gdy kilku starszych odprowadzało do Oratorjum księdza Bosko nawpół martwego od zmęczenia.''

Tak pracował ks. Bosko od r. 1841. O schronisku począł myśleć dopiero w 1847, gdy praca jego nabrała już była takiego rozgłosu, że mógł liczyć na silne poparcie publiczności, bez którego nie podobna utrzymać podobnego zakładu.

Od tego też zaczną Salezjanie w Przemyślu. Idąc w ślady swego Ojca, otworzą na razie *kaplicę świąteczną* dla młodzieży przemyskiej i zbierać będą środki na wzniesienie budynku, do któregoby przyjmować można chłopców na na stały pobyt. Za wszelką pomoc w tym względzie raczą przyjąć łaskawi dobrodzieje serdeczne dzięki.

Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, które zyskać mogą Pomocnicy Salezjańscy w miesiącu wrześniu.

Pomocnicy salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu wrześniu następujące odpusty:

A. — *Zupełne:*

a) W dzień Narodzenia Najśw. P. Marji (8. września).

b) W dzień Wywyższenia św. Krzyża (14. września).

c) W dzień Imienia P. Marji (15. września).

d) W dzień Siedmiu Boleści Matki Boskiej (22. września).

e) W dzień Poświęcenia św. Michała Archanioła (29. września).

f) W dzień, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

g) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

h) Raz w miesiąc w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. z. dobrej śmierci.

i) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.

D. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

E. — *Indulty.*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu, dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu.



Młodzież oratorjum turyńskiego przed pomnikiem ks. Bosko w Castelnuovo d'Asti *(str. 221).*

k) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekolekcje.

l) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyścu cierpiące.

C. — *Stacyjne:* W suche dni wrześniowe (18-go, 20-go, 21-go): *odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

b) Pomocnicy żyjący w seminarjach, kolegjach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników i odpustów udzielonych kościołom Zgromadzenia Salezjańskiego, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów*, trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz, Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).



MISJE SALEZJAŃSKIE

Czemu to przypisać, że protestanci, jak to widzieliśmy w ostatnim numerze, tak się interesują misjami? Miałożby to może pochodzić z ich większej dbałości o chwałę bożą? Bezwątpienia nie brak i pomiędzy protestantami ludzi przejętych uczuciami prawdziwej pobożności, którzy z pewnością szczerze oburzają się na współwierców głoszących zasady ateistyczne, co nie przyznawają bóstwa Jezusowi, nieśmiertelności duszy człowieka. Ale to nie wystarcza do wytłumaczenia faktu, że mniej liczni protestanci składają na cele misyjne dziesiątki miljonów więcej od katolików.

Kapłan pewnego Zgromadzenia misyjnego tak tłumaczy ten fakt. Protestant uważa sprawę misji za swoją rzecz, tak mniej więcej jak uważa za swoją rzecz czytanie i tłumaczenie sobie biblji. Inaczej ma się rzecz z katolikiem. Katolik, jak zwykł z rąk Kościoła przyjmować naukę bożą i wszystkie dobra duchowne, tak również sądzi, iż jest to rzeczą samego Kościoła uprawiać misje, nawracać pogan i t. p.

Otóż to mylne pojęcie o sprawie misji katolickich koniecznie trzeba sprostować. Skąd wychodzą kapłani, biskupi, papieże w Kościele? Z pośród wiernych. W Kościele Nowego Zakonu niema osobnej kasty, osobnego pokolenia kapłańskiego, lecz instytucją sakramentalną bywa utrzymywany stan kapłański. Więc tak samo tylko z pośród wiernych mogą wyjść i misjonarze i środki do ich utrzymania.

Trzeba to często wiernym przypominać, gdyż łatwo zdarzyć się może, iż wskutek samej tylko nieświadomości wielu chrześcijan, skądinąd gorliwych, nie poczuwa się do żadnego obowiązku w tym względzie, a niwa Chrystusowa stoi odłogiem nie wskutek złej woli wiernych, lecz ponieważ nie było nikogo, ktoby im był powiedział: *Ite et vos in vineam*, idźcie i wy do winnicy, przyczyńcie się i wy do sprawy rozszerzania wiary Chrystusowej słowem, czynem, jałmużną, poświęceniem osobistem, poświęceniem syna, córki, drogiej osoby...



CHINY.

Hong-Kong.

Zdobycze cywilizacji. — Widok portu. — Trąba powietrzna. — Niezmierne pole pracy.

Podczas gdy siedzę sobie w cichej celce misji św. Kalogera jako gość obsypywany owacjami, dochodzi mych uszu ciągły łomot i szum blizkiego portu. Ruch w nim nadzwyczajny! Dosyć nadmienić, że pod niejednym względem *Hong-Kong* jest pierwszym portem w świecie.

Rzuciwszy okiem na dół, spostrzegam skrawek morza ciemno-zielonego, otoczonego łańcuchem gór o amfiteatralnych kształtach, wypełnionego dosłownie wszelkiego rodzaju okrętami. Widzę tam przed wielkim arsenałem pierwszorzędne pancerniki angielskie, widzę najróżniejszych rozmiarów i kolorów parostatki i łodzie.

Gdybym miał dla całej kuli ziemskiej wyznaczyć punkt zborny, ani na chwilę nie zawahałbym się wskazać portu hongkongskiego, gdyż, jak powiedziałem, jest on punktem zbornym okrętów wszystkich narodów a zatem i wszystkich cywilizacji świata.

Rzecz doprawdy przedziwna! Na tem urwisku, co przed pięćdziesięciu laty wyglądało samotnie i ponuro z pośród bałwanów morskich, których

szum był jedynym głosem przerywającym jego grobowe milczenie, dziś wre życie najbujniejsze, najbardziej gorączkowe, jakie sobie można przedstawić. Mało kolonji europejskich miało tak rychłe szczęście, tak nagły popęd do kompletnego rozwoju.

W rzeczy samej na tych stokach niegdyś gołych, buja dziś półmiljonowe miasto.

Każde urwisko, każdy wystający głaz został rozwalony, spłaszczony i zamieniony na pyszny taras, z którego wznoszą się i kąpią w czystej atmosferze najwspanialsze wille, w cieniu rozkosznych drzew przeglądających się w morzu.

Jest to krajobraz z każdego punktu widzenia zachwycający coraz nowemi pięknościami. Każda piędź ziemi została tutaj przez ludzi zużytkowaną z gorączkowym pośpiechem celem stworzenia sobie gniazda szczęśliwości. Więc pełno tu ogrodów czarownych o drzewach najrozmaitszych i najbujniejszych, jakie może wydać tylko potężny klimat podzwrotnikowy, pełno kwiatów rozwijających się na każdem miejscu i w każdej porze roku.

Ale oko nasze spieszy niestrudzenie i pożądliwie na lazurowy szczyt góry wystający ponad miastem *Wiktorja*, cały zdobny w pałace i wille o wspaniałości i przepychu nie do uwierzenia. Zdobycz to kompletna; cywilizacja, bogata w środki i dobrą wolę, osiągnęła tutaj zenit w swoim pochodzie tryumfalnym.

Na stromej pochyłości wzgórza migają od czasu do czasu pomiędzy gęstwiną drzew i roślin, niby igraszki fantazji, wagony kolejki linowej a gdzie linowa nie dochodzi, tramwajów i pociągów. Są to pyszne drogi, które okrążają wzgórze, przerzynając je na trzy odmienne płaszczyzny. A gdzie koleje nie wystarczają, celem zyskania czasu i sił wybito tunele, które górę jak ul przeszywają na wylot.

Ale powiem rzecz jeszcze bardziej uderzającą. Sprawdza się dosłownie to, co patrjarcha Job mógł zaledwie z retoryczną przesadą powiedzieć, aby dać zrozumieć do jakiego stopnia dochodzi przemysł człowieka, żeby tylko zdobyć drogocenny metal: „Ściągnął rękę swoją na żywe głazy i wywrócił góry z ich podwalin" (1). Tak właśnie stało się tutaj: całe wzgórza i góry znikają pod mrówczą pracą niezliczonych chińskich robotników.

Atoli pojęcie dokładniejsze i zupełniejsze tej ruchliwości niespożytej można sobie wyrobić dopiero porą nocną. Zaledwie słońce schroniło się za najwyższy szczyt gór, *Hong-Kong* przybiera wygląd miasta oddanego na pastwę płomieni. U góry, po wybrzeżach, po wszystkich zakątkach nic innego nie widać, jak blask olbrzymich paszcz elektrycznych, które z pośród gałęzistych drzew spozierają szeroką iskrzącą się źrenicą. Wtenczas to można lepiej niż za białego dnia zrobić sobie pojęcie o licznych zaludnionych ulicach miasta, oraz o mieszkaniach tych, co nie znajdując miejsca w dolinie miejskiej, lub pogardzając poziomem mieszczańskim, wolą wynosić się ponad innych śmiertelników. Są to, rzecz jasna, ci, którym uśmiecha się większa kupka szterlingów.

Słowem z tego punktu wygląda miasto, jak gdyby było odziane w jasną mgławicę, wygląda jak płomień świetlany, który ciska czerwone blaski ku niebu.

Piękniejszym jeszcze, rozmaitszym i interesowniejszym jest widok portu nocną porą, zwłaszcza jeżeli ma się sposobność przyjrzeć mu się o spóźnionej godzinie i ze strony przeciwległej. Wtenczas zobaczylibyście jak okręty wojenne, zawsze czujne na bezpieczeństwo publiczne, kiwają olśniewającemi światłami; jak połyskują wielkie statki i większe tratwy; każdy parowiec, każdy okręt ma swoje oko świetlane. A każdy promień zmienia kolor: biały, czerwony, modry, zielony; każdy zaś kolor odbija się i mnoży na powierzchni morza w niezliczone snopy drgającego światła. Wiele świateł stoi nieruchomo i odbijają się w wodzie w nieskończenie drobnych iskierkach, zlewających się w jedno z niezliczonemi gwiazdami, co się również przeglądają w wodzie z pogodnego nieba. Inne znowu posuwają się szybko to w tę, to w ową stronę, jakby na stwierdzenie faktu, że tu życie nie ustaje, że noc nie jest tu czem innem, jak dalszym ciągiem dnia.

Tutaj, jak z niebotycznych szczytów olbrzymich gór, jak z nieskończonego przestworza niezmierzonego oceanu, doznajecie wrażenia potężnego, silnego, które wam daje odczuć wielkość Tego, który stworzeniom tak małym dał zdolność wykonywania takich cudów.

Istotnie handel, gdy dochodzi do takich rozmiarów, nie przedstawia się już jako liche widowisko chciwości ludzkiej, ale raczej jako wspaniały objaw ręki Wszechmocnego, która wszystkiem porusza na niebie i na ziemi.

Teraz właśnie, gdy z pośpiechem kreślę te wspomnienia, wstrząsa mną ryk setek parowców,

(1) Job XXVIII.

który mieszając się z wrzawą mieszkańców miasta i uderzając nawet o nie mniej zaludnione stoki tych pagórków, zwiastuje mi ich przybycie i wyjazd. Niektóre przybywają z Europy, a pomiędzy innymi spostrzegam okręt „*Capri*," który mi przynosi pozdrowienie z dalekiej ojczyzny. Inne nadjeżdżają ze strony wręcz przeciwnej, z Ameryki, Japonji, Australji, słowem ze wszystkich części świata.

Zdarza się nadto, że się tu zjadą floty różnych mocarstw razem. Jeżeli zaś, jak się to często trafia, przypada uroczystość jakiego monarchy, każdy, do jakiegobądź państwa należący okręt, musi dać pewną ilość wystrzałów, jak tego wymaga etykieta międzynarodowa. Wyobraźcie sobie co to za łoskot, co za hałas, co za szalona radość w porcie! Wtenczas można powiedzieć, że *Hong-Kong* śpiewa swój hymn tryumfalny.

Atoli P. Bóg chciał, aby cały ten chimeryczny blask i wielkość zostały upokorzone w kilku minutach i aby poznano, iż On sam tylko jest wielkim i potężnym. Cyklon, po szalonych tanach na morzu, spadł jak tchnienie gniewu bożego na port *Hong-Kong*. Mówią, iż można było zapobiedz wielkiej części szkód; niestety, stało się inaczej: w kilku minutach cała ta wspaniała masa okrętów i łodzi została zgruchotana i rozrzucona w kawałki.

Mogłem jeszcze oglądać „*Frondę*" nawpół wystającą z wody wzdłuż brzegu, niby tułów potworu morskiego; „*Petrarch*" ogromny parowiec, leży z rozdartymi bokami na mniejszym okręcie; „*Fenix*," wyrzucony na brzeg, leży pochylony ku zdradliwym falom morskim.

Miasto niewiele ucierpiało; nawet sam port przybrał już po kilku dniach pierwotny wygląd i ruch codzienny. A gdy za kilka lat zostanie ukończona kolej, która *Hong-Kong*, a raczej przeciwległe *Kan-lun* o 10 min. oddalone od pierwszego, połączy z *Kantonem*, *Pekinem* i tak dalej aż do Europy, wtenczas ruch handlowy pokierowany ze wszystkich części świata do tego środowiska, sprawi, że tu będziemy mieli drugi Londyn na dalekim Wschodzie.

Tymczasem zdaje mi się, iż nasz ukochany Ojciec ks. Bosko patrząc z politowaniem na tyle dusz jeszcze nie nawróconych, które się skupiają w tych gmachach, woła do nas:

„Oto nowe pole, na którem synowie moi mogliby rozbić namioty salezjańskie." Co daj Boże!

MAKAO.

Panorama. — Drzwi państwa niebieskiego. — Wiara i cywilizacja. — Serce ojcowskie. — Grota Kamoensa. — Rzut oka na Chiny.

Po gorączkowem i hałaśliwem życiu portu *Hong-Kong* następuje dziwnej spokojności kawał morza zasianego licznemi wyspami i skałami, które nam towarzyszą aż do *Makao*. Często doznaje się tutaj złudzenia, iż to jazda nie morzem, ale po spokojnych wodach lazurowego kanału.

I po dwugodzinnej jeździe, jeżeli pogoda sprzyja, *Makao* zarysowuje się na morskim widnokręgu, pokazując kilka lesistych pagórków, na których widnieją białe, wieżami opatrzone domki, kościoły i zamki obronne, stojące na straży popod leżącego miasta. Najpiękniejszy szczyt zwany *Gwiją*, zaopatrzony w ogromną latarnię morską, (najdawniejszą podobno na całym Wschodzie,) leży naprzeciwko *Penji*, miłego i wietrznego ustronia, które od niedawnego czasu z samotnego i prawie dzikiego zrębu zamienione zostało na mieszkanie letnie ks. biskupa, który w razie potrzeby otwiera je ochotnie dla instytucji zakonnych.

Pomiędzy te dwa wzgórza wrzyna się głęboko *Praja Grande*, z której słusznie pyszni się *Makao;* jest to zatoka osłoniona silną groblą a otoczona wieńcem wspaniałych pałaców, ocienionych długim szeregiem gałęzistych drzew. Istnym rajem to wybrzeże!

Ta niezrównana zatoka, choć ciągle zapchana łodziami, nie jest atoli jeszcze samym portem; ten otwiera się cokolwiek dalej na lewo — na zachód.

Pierwsze wrażenie, jakie się odnosi wstępując do tego miasta, szczycącego się świętem Boga imieniem, jest to spokój i cisza, jaka panuje na jego ulicach, ile że ulice te są obszerne, wylane cementem, czyściuchne, o jakimś uroczystym nastroju, wywołanym ogromnymi z wschodnim przepychem zbudowanymi pałacami.

Ale spokój i cisza panują tylko, rzec można, w europejskiej dzielnicy miasta. Bo w dzielnicach zamieszkałych przez Chińczyków, w których ręce przeszedł cały ruch handlowy i przemysłowy, panuje gwar i życie.

Makao jest nie tylko najdawniejszą kolonją europejską w Chinach, ale było ono pierwszemi i jedynemi drzwiami, któremi cywilizacja i re-

ligja chrześcijańska przedostawały się do tego państwa. Na ten wysunięty w morze skrawek ziemi wylądowywały nieprzerwanie hufce onych bojowników, co później zostali męczennikami za wiarę; ono było miastem ucieczki dla tych nowych chrześcijan, których zaskoczyło brutalne prześladowanie. Było więc swego czasu żyznym ogródkiem wybranych dusz, które się gotowały do walki najszlachetniejszej, do poświęcenia najwspaniałomyślniejszego. Lecz niestety! aż tu dotąd doszło zamieszanie i zmiotło niejeden dom zakonny, który potem został zamieniony na koszary wojskowe. Tak ugodzona w swą

Taksamo dla chłopców i dziewcząt krwi europejskiej istnieją tutaj dwa świetne Zakłady: jeden z poręki wielkiego i dobroczynnego dzieła Domu Miłosierdzia, drugi zarządzany przez czcigodne Siostry Franciszkanki, zwane misjonarkami Marjańskiemi, które udzielają nauk z ścisłością i doskonałością, którejby im mogło pozazdrościć niejedno miasto europejskie.

A na ostatek ks. biskup Jan Paulin d'Azewedo e Kastro w ojcowskiej swojej dobroci zwrócił swą pieczołowitość na najliczniejszą cząstkę swej trzody, zakładając naszą ochronkę wyłącznie dla małych opuszczonych Chińczyków.



Zwiedzenie grobu Dominika Savio *(str. 221)*.

najdelikatniejszą stronę, jakże potem miała imponować religja katolicka poganom? Niestety skutki są opłakane: tylu nędznych jak było, tak pozostanie Bóg wie dokąd poganami.

Jednakowoż od pewnego czasu zaznacza się pocieszające rozbudzenie wiary. Naprawdę armaty i bagnety nie wystarczają do bezpieczeństwa i spokoju międzynarodowego — mianowicie w koloniach. A więc dobrzy Makaończycy przywołali Ojców Jezuitów, pod których kierownictwem kwitnie zaludnione seminarjum z konwiktem. Również Siostry Kanosjańskie pracują od lat nad wszelkiego rodzaju nędzą tego ludu i posyłają do nieba liczne dusze dzieciąt, które uda im się ochrzcić przed śmiercią. (1).

Kto posiada trochę chrześcijańskiego cywilizacyjnego zmysłu, ten łatwo pojmie całą doniosłość tej instytucji zapowiadającej tyle dobrego.

Miasto jest podzielone na trzy parafje, ale kościołów jest o wiele więcej. Jak przeto widać, życie wychowawcze i religijne bije tu raźnem tętnem. A jeżeli smok odbiera tutaj swoją cześć w zapamiętałych i dziwacznych procesjach, mamy zato tę pociechę, (co się zdarza w nielicznych bardzo miastach dalekiego Wschodu), że po publicznych drogach bywa w tryumfie obnoszony P. Jezus w Przenajśw. Sakramencie oraz święte obrazy Matki Boskiej i Świętych Pańskich...

(1) Jest tu mowa o działalności t. zw. Dzieciństwa Jezusowego. Nasi dowiedzieli się od Siostry Marelli, że w ciągu jednego tylko miesiąca grudnia z. r. pozyskała ona dla nieba przeszło 70 dziatek... A gorliwa ta Siostra spełnia tę usługę świętą już od 30 lat!

Ale mówić o *Makao*, a nie wspomnieć ani słowem o sławnej grocie *Kamoensa*, byłoby wielkiem uchybieniem. Jest to obszerny, wspaniały ogród o drzewach i roślinach olbrzymich wiecznie kwitnących; tu z różnych skalistych wzgórków piętrzą się i podtrzymują nawzajem trzy potworne głazy, zostawiając pod sobą ciasny otwór. Wskazują go jako ustronie największego poety portugalskiego, który słodką pieśnią epiczną osładzał tu sobie gorzkie chwile wygnania.

Rozmaite wyspy uzupełniają krajobraz makaoński. *Lapa* stanowi poniekąd jego wspaniałe tło; w pogodne wieczory jesienne zabarwiają się jej wysokie góry złocistą powłoką, rzucając na przeciwległe miasto wrażenie miłej, nieopisanej tęsknoty.

Dalej w stronie wschodniej, między niezliczonemi ramiony rzeki *Kanton*, zarysowują się długim i szczerbatym łańcuchem białe i łyse, niby niepogrzebane czaszki, góry chińskie, jakby wysunięta zapora Niebieskiego Państwa, od którego *Makao* wąziuchnym tylko przesmykiem jest oddzielone.

Makao, w dawniejszych czasach jedyne środowisko europejskiego ruchu handlowego na dalekim Wschodzie, zeszło do rzędu mniej ważnych miast handlowych, odkąd zostało zastąpione przez bliskiego rywala. Atoli dopóki *Hong-Kong* i *Kanton* cieszyć się będą stanem rozkwitu, zawsze *Makao* będzie uczestniczyło w ich korzyściach.

Dowodem tego wzrastająca liczba jego mieszkańców, która wynosi 90.000; mają oni nadto naturalne źródło dobrobytu w wyżej wspomnianej rzece, która wpadając do morza blizko *Makao*, łączy ich bezpośrednio z wewnętrznemi Chinami.

Posiada nadto pewne bogactwo, które nigdy dotąd nie było mu zaprzeczone: zdrowy klimat. W rzeczy samej po nudnej porze deszczów i upałów następuje długi okres pozazdroszczenia godnej pogody. Wiedzą o tem Anglicy, którzy też co niedzielę zlatują tutaj w licznych karawanach.

Jeszcze słówko na zakończenie. Również ubodzy synowie ks. Bosko rozbili swe spokojne i skromne namioty w *Makao*. Nie są jeszcze formalnie w Wielkiem Cesarstwie, ale stąd spozieramy w jego bezmierny widnokrąg z wielkiem pożądaniem, a *Makao* będzie doń naszą bramą. Kiedy? Jesteśmy przekonani, iż to pytanie rozwiążą modlitwy naszych przezacnych Pomocników, którym nie są nieznane słowa Ewangielji: *Proście, a będzie Wam dano; pukajcie, a będzie wam otworzono.* Co daj Boże!

Makao, 15 stycznia 1907 r.

Ks. Jan Ferniani.

MOZAMBIK.
(AFRYKA WSCHODNIA).

Podróż naszych misjonarzy.
(Listy ks. Jana Barilariego).

Wyspa Madeira, 3. lutego 1907 r.

Z Lizbony do Madeiry.

Najczcigodniejszy i najukochańszy Księże Rua!

Choć to dopiero trzy dni jak znajdujemy się na morzu, to jednak czujemy potrzebę posłać Najukochańszemu Ojcu jakie wiadomości o sobie.

Ruszyliśmy z Lizbony 1-go stycznia, odprawiwszy wpierw w ubożuchnej kapliczce naszego Zakładu św. Józefa jedno z owych nabożeństw, które od tylu lat z taką okazałością obchodzą się w świątyni Marji Wspomożenia Wiernych w Turynie. Nasi współbracia i ich poczciwi wychowankowie byli do głębi wzruszeni sceną pożegnania, a my z takiemże samem uczuciem wielbiliśmy Opatrzność Bożą, iż nam dała pożegnać ojczyznę, krewnych i przyjaciół, aby pójść spełnić cokolwiek dobrego śród obcych ludów.

Odprowadzili nas aż do portu dyrektorowie Zakładu lisbońskiego i bragskiego. Na pokładzie *Malange* (jednego z najlepszych parowców Spółki Narodowej dla Żeglugi Portugalskiej, które kursują wzdłuż wschodnich i zachodnich wybrzeży afrykańskich) dobiegło nas kilku współbraci i wychowanków z zakładu pinieiroskiego. Szkoda, że nie było czasu dłużej sobie pogawędzić, bo parowiec dał znak do odjazdu; zaraz potem zabrzmiała kapela okrętowa i śród dźwięków hymnu narodowego portugalskiego pożegnaliśmy ze łzami w oczach po raz ostatni naszych drogich przyjaciół.

Kiedy ich grono znikło nam z oczu, pogrążyliśmy się w smętnem milczeniu; rozerwał nas dopiero widok stolicy portugalskiej, która od strony morza przedstawia sie nadzwyczaj pięknie. Niezadługo znikła z oczu i Lizbona,

a my poleciwszy się jeszcze raz opiece Najśw. Wspomożycielki i pomodliwszy się o pomyślną podróż, ze spokojniejszem już sercem poczęliśmy teraz podziwiać prześliczne wybrzeża. Nadeszła noc, noc kompletnie bezsenna, ale cóż robić! Bardziej niż bezsenność, bolało nas to, żeśmy dnia następnego nie mogli celebrować z powodu wzburzonego morza. Dzisiaj mogliśmy celebrować w sali I. klasy, a ponieważ to była niedziela, na mszy św. było obecnych wielu pasażerów. Po skończonem nabożeństwie wyszliśmy zaraz na pokład. Co za wspaniały widok przedstawia *Madeira!* Jest to prawdziwa perła oceanu; toż łatwo zrozumieć, dlaczego Anglicy wolą raczej tutaj niż gdzieindziej spędzać zimę. Cudny wręcz widok przedstawia miasto *Funchal* z swoim pięknym portem, do którego zajeżdżają liczne okręty nadchodzące i odchodzące w różnych kierunkach. Miasto ma kształt amfiteatru; otaczają je piękne wzgórza pokryte eleganckimi châlets, ulubionemi mieszkaniami obcokrajowców.

Mając sposobność wylądowania, pilno nam było odwiedzić ks. biskupa Emanuela Augustyna Barretę, gorliwego i życzliwego Pomocnika salezjańskiego. Czcigodny pasterz przyjął nas z największą serdecznością i rozmawiał z nami najuprzejmiej prawie przez całą godzinę. Odwiedziliśmy i innych naszych wybitniejszych Pomocników, którzy gorąco pragnęli nas zobaczyć.

Kończę ten list, bo punktualnie o 12-ej Malange odbija od wyspy.

Pobłogosław nam Najukochańszy Ojcze, gdyż błogosławieństwo Twoje jest nam rękojmią błogosławieństwa bożego.



Młodzież zakładu w *Guayaquil* **na letniem pomieszkaniu w** *Alocha* *(str. 222)*.

II.

Zdarzenia w podróży.

Kape Town, 22 lutego 1907.

NAJCZCIGODNIEJSZY I NAJUKOCHAŃSZY OJCZE!

Jakże miłą niespodziankę sprawiliśmy tutejszym poczciwym naszym współbraciom! Zawitawszy do Kape Town o 1-ej po południu i dowiedziawszy się, że parowiec pozostanie na kotwicy aż do dzisiaj, pobiegliśmy prosto do naszych Szkół Rzemieślniczych Salezjańskich na ulicy Buitenkant Street, 49.

Niech sobie Najukochańszy Ojciec wyobrazi radość naszych współbraci i ich wychowanków. Wraz z poczciwym Dyrektorem ks. Tozzim

byliśmy u najprzew. ks. biskupa, który nas otoczył tysiącznymi względami; następnie wróciliśmy do naszych, aby się z nimi nacieszyć do syta. Wieczerzaliśmy z nimi, u nich także przenocowaliśmy, co się bardzo przyczyniło do pokrzepienia naszych sił wycieńczonych 20 dniowym pobytem na okręcie.

Trzeba atoli przyznać, iż nasza podróż aż dotąd była bardzo pomyślną. Czarowne i malownicze krajobrazy Wysp Kanaryjskich, Zielonego Przylądka, wyspy św. Tomasza i portu *Loandy* były dla nas prawdziwemi oazami na jednostajnym bezmiarze oceanu.

Nie brakło nam też zachęt i pociech. W dwie ubiegłe niedziele mieliśmy szczęście celebrować dla współpodróżujących. Dnia 10. lutego, w ostatnią niedzielę karnawału czyli raczej zapustną, byli obecni na mszy św. prawie wszyscy pasażerowie I. klasy, jak niemniej wielu z II. i III. W pierwszą niedzielę postną zaś zjawili się na mszę św. wszyscy bez wyjątku.

Nie zeszedł też milczkiem karnawał. Śród zabaw i bitew — bitew nie na kwiaty, ale na mąkę — wielu podróżnych zabawiło siebie i drugich co niemiara.

W zatoce Guinejskiej gorąco poczęło się dawać mocno we znaki; tu nas zabawił widok rybek latających w powietrzu. Ryby te fruwają tylko tuż nad powierzchnią wody, aby umknąć przed żarłocznością większych ryb. Ileżto razy słyszeliśmy okrzyk: Jakże godnym podziwienia jest Bóg w dziełach swoich!

Dnia 15. lutego przybiliśmy do *Loandy*, wesołej mieściny, siedziby władz kolonialnych portugalskich w *Angoli*. Nasze pierwsze kroki były skierowane ku mieszkaniu najprzew. ks. Leona Antoniego Barbozy, biskupa angolsko — kongoskiego, a sufragana patrjarchy lisbońskiego. Ks. biskup przyjął nas natychmiast bardzo mile, skoro się zaś dowiedział cośmy za jedni i dokąd zdążamy, obypał nas po prostu dowodami dobroci i uprzejmości i chciał nawet, abyśmy się posilili u jego stołu. Następnie on sam w własnej osobie oprowadził nas po pałacu biskupim i po seminarjum, co wszystko właśnie dopiero się buduje. Djecezja angolsko-kongoska została bowiem dopiero od niedawna stworzona. Żegnając nas, dostojny Pasterz dał nam swe błogosławieństwo i wyraził nadzieję, że i w jego djecezji będzie kiedyś posiadał Salezjanów. Zwiedziliśmy także Misjonarzy św. Ducha oraz szpital Matki Boskiej Łaskawej, szpital godny jakiego stołecznego miasta europejskiego.

Ale dosyć na teraz, bo już wybiła dziesiąta i czas wracać na pokład. Kończę, dziękując Opatrzności, iż nietylko miłościwie nas prowadzi w tej podróży, ale nadto obsypuje nas pociechami, jakich wcaleśmy się nie spodziewali.

Nasz kochany ks. Tozzi raczył nas odprowadzić aż na pokład, a na pamiątkę naszego pobytu w Kape Town ofiarował nam prześliczny gramofon. Gdy go damy słyszeć naszym małym murzynom w *Mozambiku*, nieomieszkamy przypomnieć im imienia tego drogiego współbrata, który wraz z całym swoim personałem i wychowankami nie mógł nam zgotować lepszego i serdeczniejszego przyjęcia. *Deo gratias!*

III.

Miła niespodzianka.

Lorenzo Marquez, 2 marca 1907 r.

Najczcigodniejszy Ks. Generale!

Dnia 26. lutego wjeżdżaliśmy szczęśliwie w bezmierną zatokę *Lorenzo Marquez*, która, jak nas zapewniali rzeczoznawcy, mógłaby zamknąć w sobie wszystkie floty całego świata. Wskutek wzburzonego morza wjazd do portu był nieco krytyczny; ale strach przebyły w owej godzinie został sowicie wynagrodzony nader miłą niespodzianką. Radzimy właśnie nad programem, aż tu zbliża się do nas z uśmiechem jakiś ksiądz. Był to proboszcz z *Lorenzo Marquez*, który w imieniu ks. Franciszka Ferreiry a Sylwa, biskupa tytularnego z *Sieny* i prałata z *Mozambiku*, zaprosił nas w gościnę do dostojnego Pasterza, który odprawiał właśnie wizytę pastoralną i pragnął mieć nas u swego stołu.

Jego Biskupia Mość przyjął nas z radością iście ojcowską i zaznaczył, iż stało się nakoniec zadość najgorętszym pragnieniom jego serca i nie ustawał otaczać nas swymi względami aż do dnia naszego odjazdu.

Lorenzo Marquez jest miastem nowoczesnem o pięknych ulicach i ozdobnych kamienicach. Kolejki elektryczne przebiegają je we wszystkich kierunkach. Skoro tylko wyjdzie szczęśliwie z przesilenia, jakie obecnie przechodzi, stanie się niechybnie środowiskiem wielkiego ruchu.

Złożyliśmy wizytę panu gubernatorowi prowincji mozambickiej, który nas przyjął z wielkimi względami i długi czas zastanawiał się z nami nad potrzebą szkół rzemieślniczych w tej prowincji a mianowicie w *Lorenzo Marquez*.

Byłem również u gubernatora miasta pana Bonawentury Ferdynanda d'Almejda, który znając

cel naszych zakładów, ucieszył się na wieść, że Salezjanie idą objąć zarząd szkoły sztuk i rzemiosł w *Mozambiku*.

Ale na teraz niech to wystarczy. Wracamy z wizytą pożegnalną do najprz. ks. biskupa, by następnie ruszyć w dalszą podróż.

Pobłogosław nam i Ty, Najczcigodniejszy Ojcze...

IV.

U celu podróży.

Mozambik, 8 marca 1907 r.

NAJCZCIGODNIEJSZY KS. GENERALE!

Nareszcie po 36-dniowej podróży stanęliśmy u celu naszej wyprawy. Jeśli się pominie wielkie gorąco jakieśmy wycierpieli, trzeba przyznać, iż podróż nasza była jak najpomyślniejsza pod każdym względem, za co niech będą dzięki Najwyższemu!

Do *Mozambiku* zawitaliśmy wczoraj. Od godz. ósmej zarysowywał się przed naszemi oczyma upragniony port. Przedstawia on widok wspaniały. Wynoszą się dosadnie ponad inne budynki starodawna twierdza, pałac gubernatora, kościół katedralny i jego wysoka wieża.

Wyspa, na ktorej wznosi się *Mozambik*, jest małą wysepką o niespełna sześciu klm. kwadratowych; odstaje od kontynentu o jakie 1 lub 2 klm. Liczy około 8000 mieszkańców, przeważnie Turków i Hindusów. Żywioł biały bardzo tam uszczuplał i ogranicza się na kilku urzędnikach rządowych.

Przyjęci wspaniale przez Wikarjusza Generalnego prefektury mozambickiej, zostaliśmy odprowadzeni do pałacu biskupiego, gdzie zabawimy przez dni kilka, aby uporządkować rzeczy potrzebne w domu, który nam został powierzony. Jużeśmy go oglądnęli i zdaje nam się dość odpowiedni do naszego celu.

Będzie to wielkiem szczęściem, jeżeli zdołamy podnieść na nowo urok szkół rzemieślniczych. Oby nam P. Bóg udzielił do tego swej pomocy, o którą racz i Ty prosić, Najczcigodniejszy Ks. Generale, w Swoich żarliwych modłach.

V.

Na polu pracy.

Mozambik, 17 maja 1907.

NAJCZCIGODNIEJSZY I NAJUKOCHAŃSZY KSIĘŻE GENERALE!

Otośmy na polu pracy! Objęliśmy ostatecznie zarząd tego zakładu dnia 11. b. m. Założenie tegoż sięga 1888 roku, w którym nasz ukochany Ojciec ks. Bosko przeniósł się do wieczności, a zawdzięcza swój początek panu Franciszkowi Marji Da Kunha, ówczesnemu generał-gubernatorowi prowincji. Zasilana przez rząd, miała ta instytucja swój złoty wiek ze strony materjalnej; ale następnie podupadłszy pod każdym względem, wróciła w ręce Najprzew. biskupa mozambickiego. Już od roku 1897 ks. prałat Antoni Barroso, dziś biskup w Porto, dopraszał się usilnie o Salezjanów, którzy po dziesięciu latach ulegli nareszcie częstym naleganiom gorliwego jego następcy. Chociaż budynek nie był wzniesiony umyślnie pod zakład, jest jednakowoż bardzo stosowny i wygodny. Stoi tuż przy samem morzu, owszem o jedną z jego ścian biją bałwany morskie.

Sale szkolne są przewiewne i dobrze rozłożone, ale mają za mało maszyn i narzędzi potrzebnych do pracy. Daje nam się też dotkliwie odczuwać brak majstra drukarskiego i introligatorskiego. Muszą temu zaradzić nasi dobrotliwi Przełożeni, gdyż tu niema sposobu dostać takich majstrów, a prócz tego jest to jedyna drukarnia. Posiadamy nadto szkołę telegraficzną z wszystkimi przyrządami, ale i ta jest bez nauczyciela.

Obecnie trzymamy 65 wychowanków, prawie samych rzemieślników pracujących w domu; dwudziestu tylko, według utartego zwyczaju, uczęszcza do arsenału rządowego jako uczniowie ślusarscy i konstruktorzy parowców.

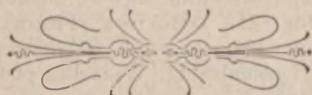
Te drogie dziatki są prawie wyłącznie murzynami, którzy dla białych żywią pewien rodzaj uwielbienia. Ale bo też i jest co koło nich do czynienia... Zrobimy też wszystko co będzie w naszej mocy, ale to pewna, że bez posiłków nie da się uczynić wszystkiego, coby należało.

Kończę, bo parowiec, który ma zabrać niniejszy list, już się gotuje do odjazdu. Całuję w imieniu wszystkich Przełożonych i wychowanków rękę Przewiel. Ojcu Generałowi i kreślę się z najgłębszą czcią i uszanowaniem

Najczcigodniejszego ks. Generała

oddany w Bogu

Ks. JAN BARILARI.



WIADOMOŚCI POTOCZNE

OŚWIĘCIM. — Serję bladych obrazków z życia zakładowego, ogłaszanych na tem miejscu, muszę zakończyć wzmianką o ostatnich chwilach pobytu młodzieży w Oświęcimiu. Było to 23. czerwca.

Czemu 23. a nie 30., to rzecz dyrekcji. O ile zauważyłem, młodzież wiele o to nie pytała. Nad ciekawością górowało zadowolenie, że wakacje przedłużono o cały tydzień, i wdzięczność dla troskliwego Dyrektora, ks. Jana Świerca, którego też serdecznie fetowano z powodu imienin.

Żałowali niektórzy, że nagłe przyspieszenie wyjazdu zdarło z uroczystości imienin i pożegnania tę paradę, którą doszła do rozmiarów wprost imponujących przed rokiem. Pedanty! krótkowidzy! Wolę sto razy tę prostotę, to zamieszanie, tę mierność a przedewszystkiem tę serdeczność, niż sztywny konwencjonalizm ubrany w przepych i patos, pokrywające brak ducha i serca. Zamiast rakiet, bomb i ogni sztucznych, wolę widzieć w oku chłopca zadowolenie, szczerość, przywiązanie bez granic do przełożonych. Milsze mi te prywatne, rodzinne życzenia i pożegnania, niż gładkie mowy i wierszyki deklamowane z wielką gracją a może z bardzo płytkiem uczuciem.

Sprężyną całego ruchu było hasło: *po raz ostatni.* W kościele komunja generalna, pompa w ceremoniale, pompa w śpiewie; od *Te Deum* aż szyby drżą, bo to po raz ostatni. Na podwórzu, na korytarzach, schodach, krzyki bez końca; w rzędach i jadalni milczenie jak nigdy, jakby makiem posiał... po raz ostatni. Sokoli rozrzucają artystyczne zaproszenie, odbywają z precyzją ćwiczenia wolne i z laskami, pochody, pląsy, defilady — także po raz ostatni. Po obiedzie wielki koncert, marsz po marszu, polka po polce, walce, mazury i t. d., każdy gra z wirtuozją — po raz ostatni. Ostatni raz skrzypki puścili w ruch lekkie smyczki, po raz ostatni deklamatorzy weszli na trybunę a komicy wyprawiali burdy na scenie.

Wyspali się po raz ostatni i pojechali. Niejednemu ciężko było, bo wiózł nagrody. Wielu już nie wróci, a tym co wrócą, zdawać się będzie, że trafili do innego zakładu. Podczas ich nieobecności wszystko odmłodniało, odświeżyło się, nabrało powabu.

Zdziwią się, odetchną swobodnie i radośnie powitają nowe czasy.

DASZAWA. — Uroczystość M. B. Nawiedzenia (2 lipca) odznaczyła się tem, że nasi klerycy i bracia urządzili zaimprowizowane święto, obchodząc w tym dniu imieniny ks. Dyrektora (Piotra). Punktem kulminacyjnym był wieczorek deklamacyjno-muzykalny ku czci solenizanta. Wszystko poszło bardzo pięknie i gładko.

Ale, jak to bywa na tej ziemi, do wesela przymieszała się kropelka goryczy: święto dzisiejsze stało się świętem pożegnania kleryków z Daszawą; z powodu nieprzewidzianych do niedawna okoliczności, nowicjat przenosi się do miejscowości zwanej *Sevnice*, albo *Lichtenwald*, w Krainie. W Daszawie zostają Synowie Marji; będzie ona więc nadal siewnikiem synów ks. Bosko, tylko innego rodzaju; nie będą się w niej kończyły nauki, ale będą się rozpoczynały. I za to dzięki Bogu! Z czasem, gdy liczba Domów ks. Bosko na naszej ziemi wzrośnie, znajdzie się u nas odpowiedniejsze miejsce także dla nowicjatu polskiego. Daj to Boże w jak najprędszym czasie!

Wracając do wieczorku, zacytujemy tu wierszyk z powinszowaniem, wypowiedziany w trakcie djalogu przez jednego z wiejskich chłopaków daszawskich, uczęszczających do naszej kaplicy świątecznej:

« Pozwól, Czcigodny księże Dyrektorze,
« Złożyć Ci nasze życzenia w pokorze.
« Wiem, żeśmy winni Tobie bardzo wiele,
« Lecz cóż Ci zato życzyć się ośmielę?
« Wy, polne pszczółki, osładzajcie ciernie
« Po których stąpa do Jezusa wiernie;
« Wy, barwne kwiatki, ścieżki ozdabiajcie,
« Wonie, zapachy przed nim wylewajcie.
« Skwar ochładzajcie, wy, letnie wietrzyki,
« Do snu kołyszcie go nocne słowiki.
« Wszystkie ptaszęta! Wy waszą piosenką
« W każdą dymiankę i w każde okienko
« W niedzielę, w święto wdzięcznie zapukajcie,
« Chłopców-psotników tutaj zapraszajcie,
« Bo on ich lubi widzieć koło siebie:
« Jemu wśród dziatwy tak miło, jak w Niebie!

Z innych numerów akademji ogólnie najwięcej podobała się chóralna ,, Piosnka pastuszków,'' odśpiewana przez kleryków, z przygrywkami na fujarce, tak żywo przedstawiająca początki działalności i skromnego pochodzenia naszego drogiego ojca i założyciela, ks. Bosko, kiedy to będąc pastuszkiem, już miewał objawienia, że będzie z czasem pasterzem dusz dziecięcych. On z swej strony modlił się gorąco do Pana Boga o spełnienie obietnicy, co się też stało w zupełności.

Nowym Dyrektorem w Daszawie będzie Przew. *ks. Walenty Wieczorek*, którego w licznych potrzebach raczą wspierać Szanowni Pomocnicy modlitwą i zapomogą.

Adres: Daszawa, poczta *Gelsendorf-Komarów*. Galicja, Austrja.

— Z powodu przeniesienia do *Daszawy* zakładu dla t. zw. *Synów Marji*, który dotychczas istniał w Iwrei (Włochy), podajemy na okładce niniejszego zeszytu warunki, pod którymi może nastąpić przyjęcie kandydatów do nowego zakładu. Szczęść mu Boże!

LWÓW. — Z okazji uroczystości Najśw. Wspomożycielki odprawił 26. maja Najprzew. *ks. biskup Władysław dr. Bandurski* dla Pracowniczek Salezjańskich Mszę św., po której wygłosił do zebranych gorące słowa zachęty, mówiąc pomiędzy innemi: ,, Marja, to pomost łączący biedną ludzkość z Majestatem Bożym, to drabina Jakóbowa, po której wstępujemy do nieba i po której Bóg nasz Jezus Chrystus zstąpił na ziemię. W Marji, Niepokalanej Dziewicy, pokłada Kościół ufność bezgraniczną, nadaje Jej tytuł *Wspomożenia Wiernych*, nazywa Ją wszechmocą błagającą. Kto kocha Jezusa, ten musi kochać Marję. Bóg najdobrotliwszy dał nam swą miłość ojcowską, w Marji dał nam miłość matczyną; dziecię bez tej macierzyńskiej miłości obejść się nie może.

,, Zrozumiał to gorliwy o chwałę Bożą ks. Bosko i położywszy dziecięcą ufność w Marji, dokonał cudownych rzeczy, zakładając instytut wychowawczy dla 200 000 zaniedbanej młodzieży. Nie miał grosza, ale miał tkliwe serce matki i ufność w Bogu. Bóg pobłogosławił jego pracom; zakłady rozszerzyły się po całym świecie i oddają ogromne usługi krajom, przysparzając im uczciwych i pobożnych obywateli.

,, Nie powinno też brakować takiego zakładu w żadnem większem mieście, gdzie gromady dzieci biednych wałęsają się bez opieki i wychowania a dorósłszy, kwalifikują się tylko do kryminału. Jeżeli społeczeństwo nie weźmie tej młodzieży w opiekę, to zemści się ona później krwawo za swą krzywdę ciemnoty, braku ciepła i serca dla niej; rzuci się nawet jak zwierz na najświętsze rzeczy, bo uniesiony namiętnością zemsty, bez zasad i wiary, straszny jest człowiek!

,, Zacny ks. Bosko, widząc to niebezpieczeństwo grożące biednym dzieciom, skupiał je w oratorjach, zachęcał do pracy i nauki. Prócz tego chcąc, by ludzie nie tylko w zakonach żyli na chwałę Bożą, założył stowarzyszenie Pomocników salezjańskich, mające na celu dopomagać do wychowania młodzieży katolickiej. Wielkiemi łaskami obdarzył Ojciec św. członków tego stowarzyszenia, pracujących dla dobra bliźnich swoich.

,,Istniejące tutaj towarzystwo dostojnych pań, ma na celu starać się o zebranie potrzebnego funduszu dla wybudowania zakładu salezjańskiego dla biednej dziatwy naszego miasta. W tym celu prosi em P. Jezusa we Mszy św. odprawionej na intencję towarzystwa, by chciał pobłogosławić tej pięknej myśli i aby się w krótkim czasie przy pomocy Opiekunki zakładów księdza Bosko, Najśw. Wspomożycielki Wiernych, udało dokonać tego dzieła.''

Następnie zwiedził Najprzew. ks. biskup wystawę robót kościelnych, które ks. dr. Gawożewski poświęcił.

LICHTENWALD (Kraina). — Prócz Przemyśla, inny cenny nabytek zrobiła w tym roku nasza prowincja. Jest nim rozległy i piękny dom piętrowy, o wielkich salach, zupełnie umeblowany, otoczony polem i lasem, położony w okolicy górzystej tuż przy stacji *Lichtenwald*. Fundatorem jest *ks. prof. Smrekar* z *Lublany*, który oddał tę uroczą posiadłość Salezjanom na własność, stawiając tylko jedno żądanie, mianowicie aby zakład był poświęcony Najśw. Sercu P. Jezusa.

Dar ten był nam tem więcej na rękę, że przyszedł do skutku właśnie wtedy, gdy nie wiedziano gdzie podziać kleryków, których należało usunąć z *Daszawy* z chwilą otwarcia tamże zakładu dla *synów Marji*. Niezwłocznie też przeniesiono nowicjat, studja filozoficzne i teologiczne do *Lichtenwaldu*, który wskutek tego stał się zaraz perłą całej prowincji. Ruch, jaki tam obecnie panuje, jest bez porównania większy, niż wtedy, gdy za złotych czasów do byłych właścicieli dworu zjeżdżał sie kwiat obywatelstwa okolicznego.

MONDONIO (Włochy Północne). — **U grobu Dominika Savio.** Z pomiędzy wszystkich zakładów salezjańskich, które ubiegały się o prym w oddawaniu hołdów pamięci świątobliwego młodzieniaszka *Dominika Savio*, wyróżnili się przedewszystkiem wychowankowie Oratorjum turyńskiego, odbywając wycieczkę do jego szczątek śmiertelnych.

Dnia 5. czerwca o wschodzie słońca wyjeżdżali osobnym pociągiem ze śpiewami i muzyką ku miasteczku *Chieri*. Po półgodzinnej jeździe stanęli w tej pięknej mieścinie i udali się natychmiast do kościoła na Mszę św. Celebrował dawny wychowanek księdza Bosko, ks. Kan. Rho, który po Mszy przywitał ich mową nacechowaną głębokiem przywiązaniem i czcią dla swego wychowawcy. Po śniadaniu w schronisku św. Alojzego, ruszyli pieszo ku *Castelnuovo* wśród oklasków uniesionego tłumu.

Przed *Castelnuovo* powitała ich tamtejsza młodzież zakładowa i wśród okrzyków mieszkańców wprowadziła do rodzinnego miasta księdza Bosko. Zatrzymano się na rynku przed pomnikiem ojca sierot: ze szeregów wyszło dwóch chłopców, którzy złożyli na postumencie pomnika wieńce z kwiatów. W tej samej chwili z piersi ludu wyrwały się gromkie: *evviva!* młodzież zaśpiewała hymn na cześć ks. Bosko z majestatycznym akompaniamentem orkiestry przy odgłosie dzwonów. I po tych malowniczych pagórkach, po winnicach, po łąkach i polach, które ongi znały Jana Bosko jako pastuszka, rozlegała się dziwna harmonia, muzyka wspaniała, która szła

... coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu.

Po obiedzie na podwórzu zakładowem, tak wypełnionem zielenią, że wyglądało na chłodny lasek, i po nieszporach puszczono się w drogę do sympatycznej wioski *Mondonio*, gdzie spoczywają zwłoki Dominika Savio. Stanąwszy na miejscu po godzinnym marszu, wysłuchała młodzież rozczulających słów księdza dyrektora o najlepszym uczniu księdza Bosko, a następnie parami przechodziła obok skromnego grobu Dominika. Mieści on się od kilku lat w małej krypcie w prawej ścianie kapliczki cmentarnej, którą się obecnie restauruje i odnawia.

Ileż to błogich uczuć i myśli owładnęło wtedy każdego z obecnych. Po czerwonych licach polała się niejedna łza wzruszenia.

Zatrzymano się jeszcze przed chatą, w której Savio zakończył swój niewinny żywot a w końcu przez

Castelnuovo wrócili do *Chieri*, skąd późnym wieczorem odjechali pociągiem.

O godzinie wpół do jedenastej uszczęśliwiona tylu wrażeniami i zupełnie wyczerpana długimi pochodami, wstępowała młodzież w progi Oratorjum na *Valdocco*.

WYSPA DAWSON (Ameryka Południowa). — Z Misji św. Rafała, położonej na południowych kończynach świata amerykańskiego, pisze nasz rodak, brat Walenty Słabosz, o naszem obserwatorjum meteorologicznem na Ziemi Ognistej nad cieśniną Magellańską:

,,... *Położenie obserwatorjum* jest następujące: długość W. Gr. 70° 51' 22'', szerokość S. 53°, 09' 43.'' Wznosi się 21 metrów ponad powierzchnią morza a 12 metrów ponad ziemią.

,,Z obserwacji poczynionych w latach 1888-1907 czerpiemy następujące dane, bardzo ważne dla studjów klimatycznych w krajach magellańskich.

,,*Ciśnienie atmosfery* najmniejsze wynosiło 721 60 mm. (w lutym 1898 r.); największe 775,00 mm. (w lipcu 1897). Zmiany są zatem bardzo znaczne o nieraz gwałtowne. Były wypadki, że barometr w ciągu 18 godzin opadał o 20 mm.

Temperatura (zwykle niska nie tyle z powodu położenia, ile wskutek ustawicznych wiatrów), raz tylko doszła do 29° ciepła. Mrozów większych też niema, bo największe zimno wynosiło — 11°.

,,*Wiatr* jest zjawiskiem charakterystycznem kraju magellańskiego, jest jego plagą i główną przyczyną, dla której nie może się tu rozwijać rolnictwo. Ciszę zupełną, trwającą mniej więcej dobę, obserwować można najwyżej dziesięć razy do roku. Zwyczajna szybkość wiatru dochodzi do 60 kilometrów na godzinę; największa wynosiła 90 klm., ale skonstatowano także uderzenia wiatru, którego szybkość przechodziła aż 120 klm.

,,*Deszcz* jest tu zjawiskiem rzadkiem, trwa najwyżej 6 godzin przy wietrze południowym i północnym. Wiatry zachodnie (chubascos) są częstsze, ale trwają kilka minut zaledwie, przynosząc zwykle grad i śnieg. Wogóle ilość deszczu (39 cm. rocznie) jest tak mała, że zawsze odczuwany dotkliwy brak wody. Tego roku wiele strumieni powysychało; trawy są kiepskie a wskutek braku paszy bydło i owce bardzo nędzne. Gorszy jeszcze pod tym względem był rok 1893, w którym deszczu było tylko 222 mm.; najobficiej zaś padał w roku 1899, którego aparaty zanotowały 558 mm.

,,*Śnieg* jest zjawiskiem corocznem, które atoli przedstawia bardzo wielką rozmaitość co do ilości i czasu zalegania ziemi. W roku 1899 było śniegu 102 cm.; ponieśliśmy wtedy wielkie szkody w zwierzętach.

,,*Wilgoci* mamy w roku przeciętnie 75.50 ơ sile lastycznej 5' 7. W Puntarenas wilgoć jest bez porównania mniejsza i wzmaga się z wiatrem zachodnim. Dlatego i zimno nie wpływa tam tak ujemnie na zdrowie.

,,*Chmury*. Z powodu wiatrów niebo pogodne należy do rzadkości. Chmury krzyżują się we wszystkich kierunkach i zmieniają ustawicznie swe kształty i deseń nieba. Klasyczną pod tym względem jest noc zimowa.

,,*Burze* powietrzne są częste i krótkie a nadchodzą zwykle z wiatrami zachodnimi; natomiast burze elektryczne trafiają się zaledwie kilka razy do roku.

,,*Trzęsienia ziemi* także tu bywają. W Puntarenas pamiętają bardzo silne i długie trzęsienie o ruchu falowym w nocy z 1. na 2. lutego 1879 a drugie z 21. grudnia 1893. Na wyspie Dawson zaskoczyło nas w styczniu 1895 i w roku 1897.

,,*Tęcza* bywa często z powodu wiatrów zachodnich i połączonych z nimi opadów. Niekiedy pojawiają się naraz dwie i trzy równoległe. Pięć razy widziano w nocy naokoło księżyca pas zupełnie podobny do wyraźnej tęczy: zjawiskò w każdym razie godne uwagi.

,,*Charakterystyką meteorologiczną* tego kraju są częste zmiany pogody. Zmiany takie obserwować można w jednym dniu po kilku razy. Do najpospolitszych należą zmiany kierunku i siły wiatrów, zmiany kształtu i ilości chmur, anormalne zmiany temperatury, deszcz, grad, wiatr, cisza, słońce. Wreszcie i te zmiany mają swoje warjanty na różnych punktach tego terytorjum. Po tamtej stronie cieśniny w kierunku wschodnim i północno-wschodnim poczyniono zupełnie inne spostrzeżenia termometra a to w małej odległości od nas. W Gallegos n. p. mają lato cieplejsze, ostrzejszą zimę i więcej wiatru. Na południowym wschodzie spotkać się można z upartym wiatrem południowym; na Wyspach Falklandzkich wiatry zachodnie i zmiany pogody wogóle są tak częste, że dzień cichy i pogodny jest dla dziatwy szkolnej dniem wolnym od nauki: zamiast do szkoły, idzie wtedy młodzież na przechadzkę, która możliwą jest tylko kilka razy w roku.

ATOCHA (Ekwator). — Z powodu żółtej febry grasującej w mieście, szczególnie w dzielnicach zamieszkałych przez obcokrajowców, musiano wychowanków zakładu salezjańskiego w *Guayaquil* wysłać na wieś, do willi *Atocha*, w okolicy *Ambato*. Malcy byli zachwyceni podróżą, gdyż nie wyobrażali sobie, aby ich spotkać mogła podobna niespodzianka.

Przenocowawszy w *Guamate*, po długim marszu dotarli do *Riobamby*, gdzie ich młodzież tamtejszego zakładu salezjańskiego podejmowała z uprzedzającą grzecznością a kapela popisywała się przed nimi całym swym repertuarem. Jeszcze tego samego wieczora stanęli w Atocha, ślicznej wiosce, w uroczej okolicy nad morzem. Naokoło roztaczają się pyszne krajobrazy. Widok śniegami pokrytej góry *Carahuairazo*, wznoszącej się poza cudnemi wzgórzami, ponad górami o fantastycznych kształtach, zaliczyłbym do najpiękniejszych obrazów na świecie.

Prędko upływają dni wytchnienia i z niepokojem myśli dziatwa o zbliżającym się dniu wyjazdu do *Guayaquil*, gdzie ją czekają trudy nowego roku szkolnego.





NABOŻEŃSTWO
do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

VI. — Koronacja Obrazu Najśw. Wspomożycielki Wiernych.



W pojęciu narodów korona jest znakiem najwyższej władzy, godności i chwały, jest godłem potęgi królewskiej i monarszej. Kościół św. po wszystkie czasy nazywał Marję Królową: *Salve Regina*, a koronując Jej Obrazy, składał raz po raz dowody, jak dalece polega na Jej mocy i wstawiennictwie.

Każda taka koronacja jest wspaniałym aktem religijnym, jest wzniosłem wyznaniem wiary, podniesieniem i ożywieniem pobożności chrześcijańskiej, bo chociaż zwyczaj koronowania obrazów Panny Marji sięga wieku ósmego, to jednak przywilej ten przyznany został stosunkowo bardzo nielicznym obrazom, jest uroczystością naprawdę rzadką i nadzwyczajną. Gdy weźmiemy na uwagę, że w przeciągu tylu wieków tylko około 250 obrazów ukoronowanych zostało, to nie moglibyśmy sobie wytłumaczyć tej uderzająco małej liczby, gdybyśmy nie pamiętali, że Kościół przyznaje tę łaskę bardzo rzadko i tylko tym obrazom, które przynajmniej od stu lat są czczone i uznane zostały kanonicznie za cudowne.

To też z nieopisaną radością powitali czciciele Wspomożycielki Wiernych dekret z dnia 13. lutego 1903, którym ś. p. **Leon XIII** zlecił ks. kard. **Augustynowi Richelmyemu**, aby Obraz Wspomożycielki Wiernych, znajdujący się w głównym ołtarzu kościoła salezjańskiego w *Turynie* z największą uroczystością *w jego Imieniu i jego Apostolską władzą* ukoronował. Od warunku stuletniego istnienia (obraz był malowany w 1866 r.) odstąpił Papież z tego powodu, że „*cześć dla tego obrazu Bogarodzicy przekroczyła granice Włoch i Europy i dziś za dziwnem zrządzeniem Boskiem rozszerzona jest po wszystkich narodach chrześcijańskich, a wota i tłumne pielgrzymki świadczą wymownie o prześwietnych i niezliczonych łaskach, które Najśw. Wspomożycielka wiernym już wyświadczyła.*“

Nadszedł dzień 17. maja 1903 r. Wschód słońca zwiastował najpiękniejszą pogodę, to też od samego rana plac Wspomożycielki niezwykle ożywiony przedstawiał widok. Zdarzenie, mające się spełnić w tym dniu, to jedno z najpiękniejszych w dziejach nowożytnego Turynu. Całe miasto bierze w niem udział i w tysiączny sposób nastrój uroczystości podnosi. Nie podobna obliczyć napływu gości, tak z różnych stron półwyspu jak z zagranicy. Niektóre karawany nadciągnęły pieszo i obozują na placu. Skoro tylko świątynia została otwartą, co nastąpiło o godz. 3,30, pielgrzymi zaczęli napływać do wnętrza tłumnie, ale bez zamieszania i ścisku; tam dawszy folgę nabożnym uczuciom, słuchają ze skupieniem następujących bez przerwy Mszy świętych, przystępując gromadnie do Stołu Pańskiego. Któż zliczy, ile Komunii św. rozdano tak w świątyni, jak w kaplicy przylegającej do żeńskiego oratorjum św. Anieli? Strumienie światła, bijące od 40. wspaniałych pająków, pozwalają objąć świetny efekt przepysznej dekoracji świątyni. Adamaszki czerwone w srebrne lilje zdobią od góry do dołu wszystkie ściany.

O godz. 8. wypróżniono świątynię i odtąd odprawiają się Msze św. na dworze: w czasie podniesienia tysiące ugina się kolan, tysiące głów ku ogólnemu zbudowaniu pochyla się kornie ku ziemi.

Kościół podzielono tymczasem na 2 wielkie przedziały: 1szy przeznaczono dla publiczności z wyjściem przez boczne drzwi po prawej stronie; 2gi dla duchowieństwa i delegatów. W try-

bunach ustawionych w głębi kościoła mieszczą się dziennikarze, fotografowie i personał Oratorjum. W trybunie umieszczonej w kaplicy św. Piotra zarezerwowano siedzenie dla Jej Król. Wysok. ks. Marji Letycji Sabaudzkiej, honorowej prezydentki turyńskiego komitetu dam; tam również zasiadają wszystkie Panie w skład tegoż komitetu wchodzące. Trybunę około ołtarza św. Józefa zajmują wychowańcy Oratorjum, dla których przeznaczono również całą kaplicę św. Alojzego. Pod kopułą wzdłuż dwóch eleganckich ław pokrytych czerwonymi adamaszkami ustawiono dwa rzędy foteli, na których zasiędą biskupi. W przestrzeni pomiędzy ławami a fotelami mieszczą się inspektorowie i dyrektorzy naszych zakładów w Europie, Ameryce i w Azji, którzy się na tryumfalną uroczystość Wspomożycielki licznie zjechali. W głębi patronowie Kongresu, wyższa kapituła Instytutu Sióstr Marji Wspomożycielki, panie opiekunki, damy honorowe Marji Wspomożycielki z Turynu i z różnych stron Europy.

Gdy już wszystkie reprezetancje zajęły wyznaczone sobie miejsca, ustawiają się koło prezbyterjum wychowańcy kilku naszych kollegiów. O 9. poruszają się dzwony i ukazują się dwaj mistrze ceremonji, którzy prowadzą za sobą pomiędzy dwoma olbrzymimi rzędami przedstawicieli 68 stowarzyszeń katolickich, najpierw małych seminarzystów, następnie alumnów seminarjum salezjańskiego, licznych prałatow i kanoników, a wreszcie 26 arcybiskupów i biskupów w asystencji ich sekretarzy we wspaniałych pontyfikalnych szatach. Pochód wyruszył z kościółka św. Franciszka ku głównej bramie świątyni.

W końcu szedł *ks. biskup Caglicro*, Salezjanin, któremu miłość kolegów ustąpiła zaszczytu celebrowania sumy w dniu tak uroczystym. Na samym ostatku zaś postępowało dwóch młodzieńców z oratorjum w paziowskich strojach z czasów *Ludwika XIV*, niosąc na ozdobnych poduszeczkach wspaniałe korony, mające



Obraz Wspomożycielki Wiernych ukoronowany 17. maja 1903 r.

uwieńczyć skronie Najświętszej Matki i Jej Dzieciątka. Bezpośrednio za nimi postępuje majestatycznie z obliczem promieniejącem od szczęścia Jego Eminencja **ks. kardynał Richelmy**, wydelegowany przez Ojca św. do spełnienia aktu koronacyjnego, mający po obu bokach dwóch delegatów kapituły metropolitalnej. Za nim hr. Bogdan Oliwieri w stroju szambelana przybocznego *di spada e cappa*, jako przedstawiciel szlacheckiej straży Jego Świątobliwości; wyższa kapituła naszego Zgromadzenia z przewielebnym *ks. Ruą* na czele, członkowie komitetu, przedstawiciele innych instytutów i stowarzyszeń.

Niesłychany zapał tłumu, który na kształt ruchomej fali uderza rytmicznie o wstrzymujące go od drzwi kościelnych kraty, towarzyszy temu tryumfalnemu pochodowi. Entuzyazm staje się jeszcze gorętszym za ukazaniem się Jego Eminencji, a w tej samej chwili z wnętrza świątyni dochodzą pierwsze dźwięki poważnego: *Ecce Sacerdos*, układu *ks. Pagelli*, Salezjanina. Gdy pochód wszedł nareszcie do kościoła, młodzież pełniąca w nim straż zaczęła z największym trudem powstrzymywać tłum u wejścia, ażeby wszelkim nieszczęśliwym wypadkom zapobiedz. Spróbowano uchylić część żelaznej bramy, ale fala zaczęła napierać tak gwałtownie, że lękając się nieszczęść, zamknięto ją czemprędzej i odstąpiono od myśli wpuszczenia publiczności do świątyni.

Gdy Jego Eminencja i wspólnie z nim celebrujący biskupi przywdziali odpowiedni strój kościelny, wszyscy obecni arcybiskupi, biskupi i prałaci podnieśli się ze swych siedzeń dla wysłuchania *brewe* papieskiego, dotyczącego mającej się odbyć koronacji, a przewielebny *ks. Rua* przystąpił do Jego Eminencji, aby w jego ręce złożyć przysięgę, że będzie strzegł koron wieńczących święte wizerunki. Po poświęceniu tychże według przepisanego rytuału, Jego Eminencja wydaje rozkaz złożenia ich na ołtarzu *in cornu Epistolae*, a tymczasem lud śpiewa hymn: *O gloriosa Virginum.*

Po tych wstępnych ceremoniach rozpoczyna się msza św. Potężny, wspaniały chór, złożony z trzystu śpiewaków, napełnia całą świątynię niebiańskimi dźwiękami mszy *Palestryny*, zw. *Missa Papae Marcelli.*

Msza św. skończona. Chwila gorączkowego oczekiwania..... na obliczach maluje się zapał i głębokie wzruszenie. Chór rozpoczyna wolno melodje antyfony: *Regina coeli, laetare, alleluja,* w przedziwnym rytmie śpiewu gregorjańskiego. Jego Eminencja w tej chwili zbliża się do schodków. Śpiewacy milkną. Świątynię zalega cisza. Wszystkich oczy zwrócone są na kardynała i na obraz. Na wielu twarzach widać toczące się łzy. Tymczasem lud na placu zebrany ujrzał przez rozwartą bramę postać wstępującego ku Marji kardynała — i wybuchł szalonym entuzjazmem. Wewnątrz świątyni przeciwnie coraz ciszej, wszyscy wstrzymują oddech.

Najdostojniejszy delegat stanął już u szczytu. Przyklęka, bierze w swoje dłonie korony, głosem silnym, dźwięcznym wypowiada formułę rytualną i składa najpierw koronę na głowie dzieciątka, które Marja piastuje. Wrażenia tej chwili trudno oddać. Jakiś niebiański nastrój panuje w świątyni, wszyscy doznają niewypowiedzianej słodyczy i szczęścia. Jego Eminencja bierze drugą koronę i wieńczy nią skronie Marji Wspomożycielki. Głos jego brzmi jeszcze donośniej i rzewniej, a w końcu wybuch płaczu jest ostatnim wyrazem rozrzewnienia i radości kardynała delegata.

W tej samej chwili z trybun, z najodleglejszych zakątków świątyni, z placu rozlega się potężny i uroczysty grzmot oklasków. Kardynał, którego oblicze promienieje szczęściem, zwraca się ku tłumom i błogosławi.

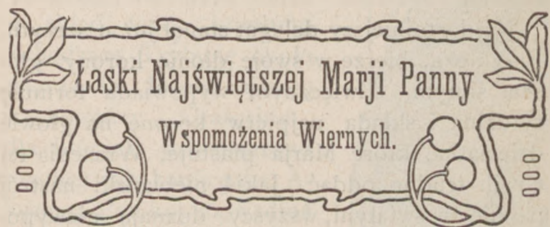
U szczytu kopuły zagrały trąby zwiastujące dopełnienie aktu koronacyjnego, poruszyły się dzwony świątyni a ze wszystkich stron miasta setki innych dzwonów odpowiedziały im przeciągłym głosem. Równocześnie 12 gołębi wylatuje przez okno kopuły i zrazu nieśmiało, potem coraz wyżej i prędzej szybują w stronę Rzymu, ażeby do Watykanu zanieść wiadomość, że wola Ojca św. spełniona, że czoło Marji Wspomożycielki ukoronowane zostało.

Wszystkie oczy kierują się w górę, tam, gdzie mistrz *Rollini* tak genialnie pędzlem tryumfy Wspomożycielki przedstawił. Po chwili powtórna przygrywka trąb, poczem stu śpiewaków ukrytych za draperjami, zwieszającemi się od galerji kopuły, intonuje antyfonę *Corona aurea super caput Eius*... Zdaje się, że to owi bohaterowie z pod *Lepanto* i z pod *Wiednia* nadziemskimi głosy wielbią Jej chwałę... Stu głosom z kopuły odpowiadają setki głosów z chóru, z trybun, z ław, krzeseł, tak iż cały kościół jednym uroczystym rozbrzmiewa hymnem.

Po antyfonie, tak zewnątrz jak wewnątrz odzywa się dziękczynne *Te Deum* śpiewane

przez cały lud. Kardynał udziela papieskiego błogosławieństwa: znowu odzywają się trąby, lud pada na kolana, głowy schylają się ku ziemi. Na tem zakończyła się owa koronacja Marji. Dostojnicy kościelni wyszli procesjonalnie z kościoła wśród entuzjastycznych okrzyków ludu.

Takich uroczystości nie widuje się często.



Szereg łask Marji Wspomożycielki.

Przed paru laty zachorowała mi moja dwumiesięczna córeczka na zapalenie kiszek i płuc. Choroba przybierała coraz gorsze objawy i doktor, pomimo wszelkich zabiegów, nie mógł nic pomódz. Tymczasem dziecko było już prawie bez zmysłów: od trzech dni nie spało i nie przyjmowało żadnego pokarmu. Straciwszy nadzieję w pomoc ziemskiego lekarza, udałam się do miłościwej Lekarki Niebieskiej, N. P. Marji Wspomożycielki. Wziąwszy dziecinę na ręce, uklękłam przed obrazem tejże Matki Najświętszej i ze łzami w oczach ofiarowałam Jej małą pacjentkę, obiecując, że jeśli mi ją uzdrowi, będę bezustannie palić lampkę przed obrazem Matki Boskiej i złożę ofiarę na cele salezjańskie. Po tej modlitwie dziecię zasnęło i z dniem każdym zaczęło mu się polepszać, a wkrótce zupełnie przyszło do zdrowia.

Jedno z przyrzeczeń wypełniłam i lampkę palę zawsze, ale drugiego ze względu na krytyczne położenie nie mogłam wykonać.

Dwa lata potem znów zachorowała mi ta sama dziecina na krup i dyfterję. Trzech doktorów powtarzało mi jedno i tosamo, że dziecko nocy nie przeżyje, a lekarz, do którego ostatecznie się udałam, nie pozwolił mi wziąć córeczki z powrotem do domu, tylko mi ją zabrali do szpitala przeznaczonego specjalnie dla takich chorób. Mnie wolno było jedynie zawieźć chorą na miejsce. Przybywszy do szpitala, doktor w czasie jej badania polecił mi wyjść do drugiego pokoju. Tam padłszy na kolana, błagałam gorąco Matki Najśw. o zdrowie dla mojej drogiej dzieciny. Po zbadaniu doktor zawezwał mnie i powiedział, że dziecko jest bez nadziei wyzdrowienia; spytał przytem, czy godzę się na zrobienie pacjentce operacji; zgodziłam się na wszystko, prosząc, by mi dziecię uratowano. Na drugi dzień przyszedłszy, dowiedziałam się, że w nocy dziecku się polepszyło, dlatego odstąpiono od zamiaru operacji. Dla przezorności atoli postanowiono zatrzymać chorą w szpitalu przez siedm tygodni. Mnie przez ten czas nie było wolno jej wcale odwiedzać. Tak nakazuje prawo angielskie. Tylko raz doktor zdjęty litością nad moją rozpaczą, pozwolił mi córkę zobaczyć.

Bóg miłosierny skrócił czas przeznaczony na kurację dla chorej i w niespełna pięć tygodni zawiadomiono mnie, abym przyszła zabrać do domu córeczkę, którą oddano mi zdrową, czerstwą i rumianą, jaką nigdy przedtem nie była.

Jadąc z Londynu do Kanady, przez cały czas podróży byliśmy w niebezpieczeństwie życia, gdyż morze szalało bezustannie a jednej nocy kapitan już był przygotowany na niechybną zgubę. Wtedy zaczęłam gorąco prosić Najśw. Panny Marji Wspomożycielki, by mi pozwoliła zobaczyć jeszcze mego męża, do którego jechałam, i znowu moja nadzieja mnie nie zawiodła. Był to ostatni wysiłek rozszalałej burzy i odtąd nastał spokój aż do końca.

Lecz w czasie tej burzy zaziębiła mi się ta sama córeczka i ponownie zapadła na zapalenie płuc i dyfterję. Byłam o nią w wielkiej obawie i prosiłam Matkę Boską, aby mi pozwoliła zawieźć ją choć żywą do męża. Stanąwszy na miejscu, zaczęłam zaraz odprawiać nowennę i wobec tego, że choroba pogarszała się coraz to bardziej, uczyniłem ślub, iż jeżeli mi Bóg za przyczyną M. B. Wspomożycielki zachowa dziecko przy życiu, ogłoszę wszystkie te łaski w *Wiadomościach Salezjańskich* i poślę ofiarę na Mszę św. dziękczynną. Otóż pomimo niepomyślnych zapowiedzi lekarza, także tą razą zostałam wysłuchaną i dziecina moja po raz trzeci wróciła cudownie do zdrowia.

Spełniając przeto dane przyrzeczenia, zasyłam jałmużnę na odprawienie Mszy św. dziękczynnej i bardzo proszę o podanie wyżej opisanych faktów do *Wiadomości Salezjańskich*.

Montreal (Kanada), 15. 5. 1907.

JULJA ZATOŃSKA.

***

Przez dłuższy czas byłam bardzo cierpiąca i słaba; lekarstwa nic mi nie ulżyły. W mem cierpieniu udałam się do Matki Boskiej Wspomożenia wiernych, która mnie już nieraz uleczyła. Poprosiłam o nowennę do Matki Boskiej w turyńskiem Oratorjum i przyrzekłam, że jeśli mnie ta Panna Najświętsza pocieszy, ogłoszę to i podziękuję w *Wiadomościach Salezjańskich*, dam na Mszę św. dziękczynną i złożę ofiarę na cele salezjańskie.

Zaraz też w pierwszych dniach nowenny polepszyło mi się i czuję, że codziennie mi zdrowia i sił przybywa, za co na tem miejscu Marji Wspomożycielce z głębi duszy dziękuję i błagam o zupełne wyzdrowienie. Podług przyrzeczenia składam 4 marki na Mszę św. do Matki Boskiej łaskami słynącej w Turynie a 6 marek na cele salezjańskie.

Marjo, Wspomożenie wiernych, módl się za nami!

Śrem, 1. czerwca 1907 r.

A. U.

Głos wdzięczności.

W październiku z. r. zachorowałam na chorobę nerwową tak bardzo, że mnie zaopatrzono nawet ostatnimi Sakramentami na drogę wieczności. Przywołany lekarz żadnej nadziei nie miał, abym przy życiu pozostała i oświadczył wyraźnie, że jeszcze kilka dni — a skończą się moje męczarnie. Na te jego słowa mój mąż odpowiada, że nad wszystkimi lekarzami jest jeszcze jeden Bóg wszechmocny, który jej może pomódz. Tak, mówi na to lekarz, ale tu już chyba nie, bo chora ma i płuca bardzo zepsute. Tego samego zdania była także pielęgnująca mnie Siostra Elżbietanka, która już miała w pogotowiu gromnicę i wszystko inne potrzebne dla konających.

W tej ciężkiej chwili mój mąż wysłał do Turynu ofiarę na odprawienie nowenny do M. B. Wspomożycielki o moje wyzdrowienie, przyobiecując, że jeżeli będziemy wysłuchani, ogłosimy doznaną łaskę w *Wiadomościach Salezjańskich*. Gdy nadeszło zawiadomienie, kiedy nowenna zacznie się odprawiać, ja również przyłączyłam się do niej i od tego czasu ataki nerwowe ustały a także w całym stanie mego zdrowia nastąpił widoczny zwrot ku lepszemu. Uznał to sam lekarz, który nie mógł się nadziwić temu, co się stało. Odtąd polepszało mi się zwolna, ale stale — i dziś już o własnych siłach mogę wstawać i zajmować się domem.

Wypełniając ślub, łącznie z mężem wyrażam najgorętsze podziękowanie dobrotliwej Wspomożycielce za doznaną łaskę i załączam jałmużnę na potrzeby salezjańskie.

Grata (Prusy Zachodnie).

MARJANNA WOELK.

***

Przed dwoma laty zachorowałem na suchoty. Za przyczyną M. B. Wspomożenia wiernych powróciłem jednak nadspodziewanie prędko do zdrowia, tak że teraz swobodnie mogę się oddawać znowu mojej pracy, zaco tej najlepszej Matce składam publiczne podziękowanie i małą ofiarę.

Oświęcim, 30. 6. 1907.

A. P.

Pocieszycielko utrapionych, módl się za nami!

W chwili wielkiego smutku udałam się z całą ufnością i wiarą do Najświętszej Panny Marji, przyrzekając, że jeśli raczy mnie wysłuchać, poślę na mszę świętą i podam ten dowód Jej macierzyńskiej miłości w *Wiadomościach Salezjańskich*. Prośba ta, jak i wiele innych została wysłuchana, zaco przejęta głęboką wdzięcznością składam tej Pocieszycielce strapionych szczere podziękowanie i posyłam równocześnie 10 K. na odprawienie mszy świętej przed Jej cudownym obrazem. Was, Czcigodny Ojcze, proszę podać to moje podziękowanie w *Wiadomościach Salezjańskich*, ażeby czytających zachęcić do udawania się w każdej potrzebie do N. M. Panny Wspomożycielki Wiernych.

W Kopyczyńcach, 2. 6. 1907.

N. WOLAŃSKA.

***

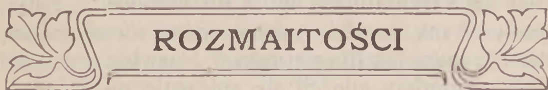
Matuchna Boża Wspomożycielka wiernych niech raczy przyjąć rzewne podziękowanie złożone kornie u Jej świętych stóp. Z ciężkiego położenia wybawiła mię ta przemożna Pani, gdym odmówiła nowennę, obiecała złożyć ofiarę i ogłosić publicznie jak łaskawą jest od wieków sławiona Wspomożycielka. Dziś dotrzymuję zobowiązania i ponawiam tak prośbę, jak przyrzeczenie: *Pomóż mi, Matko święta, w dalszej mojej ciężkiej walce, a zyskasz nie jedną, lecz kilka jeszcze wdzięczniejszych i wielbiących Cię dusz.*

Machliniec, 1. 6. 1907.

K. K.

Dziękują Najświętszej Marji Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezjańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

H. Hrehorowicz ze Słucka (*Litwa*); J. K. z Wietrzna (*Galicja*); Marja Liermanowa z Demmina (*Pomorze*); Stanisław i Agnieszka Styza z Modrza (*W. Ks. Poznańskie*); Franciszek Krupa z Przemyśla (*Galicja*); Helena Śliwówna z Krakowa; J. Fuchs z Pyskowic (*Górny Śląsk*), za wyzdrowienie z ciężkiej choroby; Franciszek Ziętara z Kupienina (*Galicja*), za wyzdrowienie z wielkiej niemocy zaraz po poleceniu się opiece M. B. W. W. i Najsł. Serca Pana Jezusa; Konstancja Swirska z Włodawy (*Królestwo Polskie*), za wyzdrowienie wnucząt; Rodzina An. i Ka. z Jawiszowic (*Górny Śląsk*), za wyzdrowienie z ciężkiego zapalenia błony; S. P. z Lisek (*Galicja*), za wielką łaskę otrzymaną; Marta Kołodziej z Chrustowa (*W. Ks. Poznańskie*), za szczęśliwe przejście operacji; Malwina Podolińska z Krukienic (*Galicja*), za wyzdrowienie z astmy i strasznego bólu w piersiach; N. Barteczko z Sielic (*Górny Śląsk*), za wysłuchanie modlitw; K. L. z Mr. (*Prusy Zachodnie*), za ocalenie córki, której dostała się do żołądka szpilka i była przez to w wielkiem niebezpieczeństwie życia.



Jak ks. Bosko już od pierwszej młodości umiał przyciągać serca do Boga.

PEWNEGO razu przybył do włoskiego miasteczka *Chieri* linoskoczek, aby tam na placu w pobliżu kościoła pokazywać swoje sztuki i skoki. Przedstawienia rozpoczynał przed nabożeństwem i aby wzbudzić tem większe zajęcie wśród licznej gawiedzi, po każdym młynku zgrabnie wywiniętym, po każdej sztuce kuglarskiej wołał do widzów: „Kto z was potrafi to samo?“

Wielu i młodszych i dorosłych dało się skusić tak dalece, że na nabożeństwo częścią się spóźniali, częścią całkiem zaprzestali chodzić.

Był w tem miasteczku piętnastoletni chłopiec, któremu to zaniedbywanie służby Bożej sprawiało tak wielką przykrość, że zaczął przemyśliwać nad tem, jakby złemu zaradzić.

W następną niedzielę po kilku występach linoskoczka przystąpił do niego i rzekł rezolutnie: „Założę się o 20 franków, że lepiej to potrafię od was." Kuglarz zmierzył chłopca pogardliwym wzrokiem i rzekł z lekceważeniem: „Malcze jakiś, skąd ty możesz mieć tyle pieniędzy?" Na tym punkcie się nie mylił, gdyż chłopiec takiej sumy istotnie nie posiadał, ale jeden ze znajomych przyszedł mu w pomoc i złożył za niego 20 franków. Rozpoczęły się zapasy. Kuglarz wykonał swą sztuczkę z zadziwiającą wprawą, lecz młody współzawodnik powtórzył ją z taką zwinnością, że przypatrujący się lud jednomyślnie przyznał mu wygraną.

Chłopiec wygrał zakład, ale się otrzymanym zyskiem nie zadowolił, bo zmierzał do zupełnie innego celu. Także linoskoczek, doznawszy tak upokarzającej porażki, nie chciał poprzestać na tej jednej próbie. Aby więc odzyskać przegrane pieniądze i utraconą sławę kuglarską, zawołał do młodego zwycięzcy: „Założę się o 40 franków, że nie powtórzysz tego, co ja teraz pokażę. Chłopiec przyjął powtórny zakład, mówiąc: „Jeżeli przegram, to wypłacę wam 40 franków; jeżeli zaś wygram, to w takim razie opuścicie nasze miasteczko."

Żądanie to wydawało się linoskoczkowi dziwaczne i za daleko idące, lecz rozochocony tłum nalegał, by ten warunek przyjął. Zgodził się zatem ostatecznie, będąc przekonany, że na pewno pokona młodego współzawodnika. Przystąpił do wysokiego drąga, który stał na placu i krzycząc: "Dobrze! Spróbujemy teraz, kto z nas najwyżej się wdrapie," zaczął się tak szybko wspinać na słup, że w jednej chwili siedział na wierzchołku. Potem wyciągając w górę ręce, zawołał z tryumfującą miną do chłopca: „Patrz, malcze! tak wysoko ty z pewnością nie sięgniesz, bo nie masz tak długiej ręki." I pewien wygranej i uśmiechnięty spuścił się spiesznie na dół.

Widzowie nieledwie z litością patrzeli teraz na chłopca, który pomimo wszystkiego nie chciał się dać odstraszyć od dokazania sztuki, która się wydawała niepodobną. Wcale zręcznie i prędko wdrapał się na słup i wydostał się na jego wierzchołek. Wtedy oczy widzów zwróciły się ku niemu i z natężoną uwagą śledziły wszystkie jego obroty. On zdjął wieniec, który się znajdował na jego szczycie, włożył go sobie na głowę, głową tak uwieńczoną stanął na wierzchołku słupa i wyciągnął nogi wysoko w górę, trzymając się oburącz drąga. W ten sposób o całą długość, swego ciała przedłużył wysokość słupa i wśród oklasków nieposiadającego się z radości tłumu osiągnął wysokość, przewyższającą o dobre pół metra tę, którą w powietrzu ręką był zakreślił przedwcześnie tryumfujący kuglarz.

Nie mogąc znieść tej porażki, stosownie do układu opuścił natychmiast miasteczko, które tym sposobem uwolnione zostało od pokus i kusiciela.

Od tej chwili zwycięski chłopiec stał się bożyszczem okolicy. Wszyscy chłopcy lgnęli do niego całem sercem, pociągani jakąś niewidzialną siłą. Gdy powstawały pomiędzy nimi kłótnie i zwady, wybierali go sobie na rozjemcę i chętnie godzili się na jego wyroki.

W czasie letnim, zwłaszcza w dni świąteczne, zbierała się około niego młodzież ze sąsiedztwa a nawet z okolicy. On zabawiał ją sztuczkami, których się doskonale wyuczył był od skoczków i kuglarzy na jarmarkach w poblizkich miastach.

W *Becchi* (1) jest łąka, na której onego czasu rosły niektóre drzewa a pomiędzy niemi grusza. Do niej przywiązywał on sznur i wyprężywszy go wysoko w powietrzu, wiązał go z drugiego końca do innego drzewa. Dalej przygotowywał stoliczek i kładł na nim worek; wreszcie stawiał krzesło i rozścielał na ziemi koc do skoków.

Kiedy już wszystko było gotowe a wokoło zebrał się tłum ciekawych, wtedy wzywał wszystkich do modlitwy, którą kończono pieśnią pobożną. Po tem wszystkiem wskakiwał na krzesło i odzywał się w te słowa: „Teraz posłuchajcie kazania, które dzisiaj rano wygłosił ksiądz wikary."

Niektórzy wtedy zabierali się do figlów, okazywali niecierpliwość, mruczeli sobie półgłosem, iż nie przyszli na kazanie, ale na sztuki i zabierali się do odejścia. Chłopiec mimo to stał na stołku i rozkazywał tak śmiało, że zniewalał do posłuchu nawet starców sześćdziesięcioletnich. „Idźcie sobie, wy niecierpliwi," wołał; "ale gdy wrócicie przy rozpoczęciu sztuki, już was tu nie przypuszczę!" Na tę groźbę wszyscy słuchali nauczki.

Wreszcie zaczynały się sztuki. Mowca stawał się od razu kuglarzem zawołanym. Robił młynka, latał motyla, czynił skoki niebezpieczne, połykał pieniądze, które zaraz wydobywał z nosa, mnożył kule, jaja, przemieniał wodę w wino, zabijał i krajał w kawałki koguty, które na dany znak powracały do życia i piały okrutnie, chodził po linie, podskakiwał na niej, tańcował, wieszał się na nogach. Gdy po kilku godzinach takiej za-

---

(1) Wioska położona w uroczej okolicy *Monferrato* w Piemoncie.

bawy ze zmierzchem nocnym kończył mały skoczek znużony swoje sztuczki, odmawiano modlitewkę i wszyscy rozchodzili się do swoich domów.

Tym chłopcem był Jan Bosko, późniejszy apostoł młodzieży. Te występy były brzaskiem jego działalności na korzyść dzieci i całej ludzkości.

ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misjonarza Salezjańskiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XLII.

Biskup dzikich. — Spotkanie i narada. — Plemię Koroados. — Dziwaczne zwyczaje i stroje. — Przesądy. — Osada Teresy Krystyny. — Bóg tego chce! — Układy i przygotowania. — Pierwszy salezjański Dyrektor nowej osady. — Szlachetna odezwa i jej pomyślny skutek.

Chociaż misjonarz-apostoł w Kujabie cieszył się z pięknych początków nowego Oratorjum, które w krótkim czasie obfite wydało owoce, i ze świętą dumą patrzał na zakład św. Alojzego zapełniający się młodzieżą wyrwaną ze zgubnego próżniactwa i złych nałogów, to jednak serce jego nie mogło zaznać spokoju, bo nieustannie zwracał swój wzrok ku dzikim plemionom zamieszkującym lasy Matto Grosso.

Sądził zawsze, że ich nawrócenie ma być głównem zadaniem misjonarzy salezjańskich, a sam, odkąd wyniesiony został do godności biskupiej bez stałej stolicy, uważał za swą powinność być przedewszystkiem *biskupem dzikich*. Ale wobec tylu plemion indjańskich, zamieszkujących te krainy, często pytał sam siebie, od którego i w jaki sposób rozpocząć pracę? Kto dostarczy środków? Ale jak w każdem dziele, którego ziszczenia Opatrzność Boża pragnie, tak i w tem współdziałała ręka boska. 25-go czerwca, gdy biskup udał się był do Prezydenta Emanuela Murtinho dla naradzenia się nad różnemi sprawami dotyczącemi nowego Zakładu salezjańskiego, spotkał tamże jego brata, który właśnie powrócił był z urzędowej podróży do osady *Teresy Krystyny*, założonej przez rząd wśród plemienia *Koroados* celem nakłonienia go do stałego i pracowitego życia. Naturalnie rozmawiano Indjanach i o sposobach ucywilizowania ich, a dusza biskupa przy słuchaniu opowiadań p. Murtinho rozgorzała miłością i litością ku tym nieszczęśliwym. Streścimy tu główniejsze punkta tego opowiadania dla lepszego zrozumienia dalszego ciągu wypadków.

Osada *Teresy Krystyny* oddalona jest sześć dni drogi konnej od Kujaby i leży nad brzegiem rzeki S. Lorenzo (św. Wawrzyńca). Istnieje już lat dziesięć i składa się z Indjan zwanych Koroados, co znaczy *tonsurowani*, albowiem noszą na głowie rodzaj tonsury, uzyskanej przez wyrywanie sobie włosów (1). Są oni po większej części wzrostu wysokiego, cery bronzowej; włosy mają gęste i sterczące, oczy czarne, rysy wydatne, nos przypłaszczony, usta bardzo szerokie z obrzękłemi wargami, w czem podobni są do wszystkich krajowców rasy amerykańskiej. Czoło jest pokryte włosami; natomiast nie mają wcale brwi, bo je wyrywają, podobnie jak cały zarost na brodzie.

Nie noszą nawet szmaty dla okrycia ciała; natomiast lubią obwieszać szyję i ramiona naszyjnikami i bransoletami z kawałeczków muszli lub skorup ślimaczych, zaokrąglonych przy pomocy zębów lub na kamieniu i przedziurawionych w środku, a następnie nawleczonych na sznurek z liścia kokosowego; te muszelki przeplatają czerwonemi lub czarnemi ziarnkami pewnych owoców. Na wielkie uroczystości opasują głowę i biodra wieńcami dziwacznymi z piór papug i różnych innych ptaków o jaskrawem upierzeniu.

Ciało malują rodzajem czerwonej masy, którą otrzymują ze soku rośliny zwanej przez nich *uruku* i tłuszczu tygrysów lub krokodyli. Ta maść lepka i o silnej woni, ochrania ich zarazem od ukąszeń komarów i tysiąca innych zjadliwych owadów.

To dzikie plemię jest dość mściwego usposobienia. W przypadku zamordowania którego

(1) Powiadają, że zwyczaj ten przejęli dawnymi czasy od Misjonarzy.

z pośród nich, ścigają zawsze z okrucieństwem mordercę; z tego powodu są nieustannie w wojnie z plemionami sąsiedniemi i tępią się wzajemnie bez wytchnienia. Bronią ich jest łuk i strzały, któremi władają z taką zręcznością, że żaden strzał nie chybi, nawet na odległość 25 metrów; trafiają ptaszka w locie i rybę w wodzie.

sposobami, aby mąż był zadowolony; inaczej czeka ją chłosta.

Dzieci, dziesiątego dnia po urodzeniu przedstawiane są uroczyście t. zw. *Bairowi*, który jest rodzajem *kapłana* czy naczelnika plemienia; on zapomocą kości, wyostrzonej jak sztylet, przebija im dolną wargę, a żeby otwór nie zrósł



Kościół Najśw. Wspomożycielki Wiernych w Turynie *(str. 223)*.

Przytem zarówno mężczyźni, jak kobiety i dzieci, są nadzwyczaj biegłymi pływakami; rzucają się w największą głębię i długi czas mogą wytrzymać pod wodą.

Kobiety u nich uważane są za bydlęta robocze. Najcięższa i najprzykrzejsza praca im przypada w udziale. Gdy mężczyzna powraca do domu, musi mieć czem nasycić swoją żarłoczność; kobieta zatem zmuszona jest szukać, prosić u sąsiadów, kraść, łowić ryby, starać się wszelkimi

się, wkłada weń okrągły patyczek. Skutkiem tego przez całe życie mogą nosić w tem miejscu jako ozdobę w dnie wielkich uroczystości kawałeczki trzciny, białe czarne lub czerwone, według upodobania. *Baire* spełnia również funkcje kapłańskie i odbywa zaklęcia nad pokarmami, które mogłyby uledz zepsuciu, zwłaszcza nad mięsem tygrysa i krokodyla. Jest on prócz tego lekarzem pokolenia: głównym zabiegiem lekarskim, jakim się posługuje, jest przy-

ciskać wargi do miejsca bolącego i ssać je silnie dla odciągnięcia złośliwego ducha. Jeżeli ten środek nie pomaga, wtedy *Baire* przepowiada dzień i godzinę śmierci, a biedny chory nieodwołalnie musi umrzeć, aby proroctwo nie poszło na marne. To też gdy się przybliża nieszczęsna godzina, czarnoksiężnik przykrywa twarz chorego tkaniną z liści, a wsuwając rękę pod tę śmiertelną zasłonę, dwoma palcami ściska mu mocno nozdrza a resztą dłoni zaciska usta, tak że śmierć następuje w końcu z uduszenia.

Gdy ofiara wyzionie ducha, *Baire* wymawia słowo *Bi*, co znaczy: umarł. Wtedy rozpoczynają się krzyki, wycia i okropne sceny. Najbliżsi krewni nacinają sobie uda oraz inne części ciała, z których obficie tryska krew i skrapiają nią trupa; potem, w dowód żalu, smarują sobie czarną farbą całe ciało i wyrywają sobie włosy z głowy.

Dwanaście godzin po śmierci zagrzebują trupa nieopodal chaty, prawie pod powierzchnią ziemi i aby przyśpieszyć rozkład, zlewają to miejsce codzień obficie wodą. Po piętnastu dniach odkrywają gnijące ciało, niosą do rzeki, zanurzają w wodzie, poczem krewni odrywają i rozszarpują pojedyńcze członki, a oddzieliwszy ciało od kości, te ostatnie myją i czyszczą starannie, zabierają do chaty, a wysmarowawszy je swoją czerwoną maścią, układają w koszyku przystrojonym w najpiękniejsze pióra. Na ostatku koszyk ten, po nieskończenie długiej i niezrozumiałej ceremonji, wstawia się do rzeki w takiem miejscu, gdzie jest głęboki wir, lub też, jeżeli zmarły był osobą pospolitą, zakopuje go się koło chaty. Dzicy mają pewne pojęcie o nieśmiertelności duszy i łączą z niem niedorzeczną wiarę w metempsychozę czyli przechodzenie dusz. Przekonaniem ich jest, że dusza *Baira* przechodzi w gwiazdę, dusze zaś pospolite przechodzą najchętniej w ciała pewnych wielkich papug o ogromnym dzióbie i świetnych piórach; stąd mają do tych ptaków wielkie przywiązanie.

Koroadowie nie mają zamiłowania do pracy; lubią życie koczownicze i całkiem swobodne. Usposobienia niestałego i całkiem nieopatrzni, sami z siebie nie mogą poprawić swego losu. Aby ich ucywilizować i uczynić użytecznymi dla kraju, rząd stanu Matto Grosso wysłał w roku 1885 pięćdziesięciu żołnierzy pod wodzą pułkownika (i zarazem Dyrektora), dla założenia kolonji, której dano nazwę *Teresy Krystyny*. Według prawa grunt przeznaczony na tę kolonję nie może być sprzedany, lecz powinien być rozdawany Indjanom plemienia *Koroados*, skoro tylko będą zdolni go uprawiać i okażą chęć osiedlenia się. Rząd wyznaczył koszta utrzymania dla żołnierzy, którzy mieli trzymać w karbach osadników i uczyć ich pracy; a prócz tego przeznaczył pewną zapomogę, która wraz z płodami uprawnej ziemi wystarczyć miała na wyżywienie wszystkich dzikich zamieszkujących osadę. P. Murtinho dodał jednak, że aż do tej pory nie znać było żadnych dobrych skutków tego urządzenia dla nieszczęśliwych mieszkańców lasów. Nie oskarżając nikogo osobiście, wyraził zdanie, że przyczyną tego niepowodzenia jest niedbalstwo przełożonych, którzy więcej myśleli o nagromadzeniu zapasu grosza dla siebie i swej rodziny, niż o dobru osady. Z tej przyczyny już zniesiona została kolonja *Izabelli*, założona w podobnym celu i na tych samych zasadach; a takiż los groził kolonji *Teresy Krystyny*.

To spotkanie z p. Murtinho, żywe opisy obyczajów plemienia *Koroados*, ale nadewszystko upadek osady *Izabelli* i niebezpieczeństwo grożące osadzie *Teresy Krystyny*, rozpaliły jeszcze mocniej gorące pragnienie pracowania nad nawróceniem dzikich, które trawiło naszego biskupa; w tem wszystkiem widział on jasno wolę Bożą, wzywającą go, by dłużej nie zwlekał, ale spieszył na ratunek tego nieszczęsnego plemienia. Rozpoczął więc natychmiast układy z Prezydentem Stanu i nie żałował trudu by ułożyć podstawy umowy, którą Salezjanie mieli zawrzeć z Rządem. Postanowiono, że pułkownik, który był komendantem wojsk i dyrektorem Indjan w osadzie, będzie uwolniony od swych obowiązków; że wszystko będzie oddane w ręce Misjonarzy Salezjańskich z zupełną wolnością rządzenia się i zaprowadzania reform, jakie uznają za potrzebne. Układy postępowały szybkim krokiem; jednakże dla lepszego zapoznania Salezjanów z miejscowością, gubernator Emanuel Murtinho ofiarował im dobrego przewodnika i jako eskortę czterech służących z mułami dźwigającemi zapasy na daleką podróż aż do osady.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NEKROLOG.

ZMARLI POMOCNICY.



Pantoł X. Jan, — Letnia, *Galicja*.

Paruselowa Marja, — Zielniki, *Górny Śląsk*.

Pawłowska Jadwiga, — Tczew, *Prusy Zachodnie*.

Pelczarski Jan, — Korczyna, *Galicja*.

Perlińska Marjanna, — Szymborze, *W. Ks. Poznańskie*.

Piltosz Maksymiljan, nauczyciel, — Delatyn, *Galicja*.

Pinker Teofil, — Stężyca, *Prusy Zachodnie.*
Pociejowa Sydonja, — Kraków, *Galicja.*
Rozmiarek Wawrzyniec, — Sroczewo, *W. Ks. Poznańskie.*
Siwek Marcin, — Janów, *Górny Śląsk.*
Skrobidurski Józef, — Zamarstynów, *Galicja.*
Szafraniec Joanna, — Chorzów, *Górny Śląsk.*
Szulcowa Teodora, — Kurytyba, *Brazylja.*
Toszka Marjanna, — Dąbrowa, *Galicja.*
Twarzydło Sebastjan, — Zakrzówek, *Galicja.*
Tylewski Ignacy, — Poznań.
Urbański Wacław, — Strzelno, *W. Księstwo Poznańskie.*
Waruszewski Franciszek, — Czerniejewo, *Prusy Zachodnie.*
Wątor Stanisław, — Podgórze-Zabłocie, *Galicja.*
Wawrzynkiewiczowa Antonina, — Góra, *W. Ks. Poznańskie.*
Wiśniewska Emilja, — Oborniki, *W. Ks. Poznańskie.*
Wiśniewski Wawrzyniec, — Tarnowo, *W. Ks. Poznańskie.*
Witosławski Sebastjan, — Kcynia, *W. Ks. Poznańskie.*
Włoszkiewicz X. Franciszek, proboszcz, — Skalmierzyce, *W. Ks. Poznańskie.*
Wois Leon, — Stanisławów, *Galicja.*
Wojak Michał, — Lubieki, *Prusy Zachodnie.*
Wójcik Jan, — Oświęcim, *Galicja.*
Wójcik Wawrzyniec, — Rączyna, *Galicja.*
Wolszczakiewicz Wielebna Matka Kazimiera, — Przemyśl, *Galicja.*
Wróbel Antoni, — Piotrowice, *Górny Śląsk.*
Wróblewski X. Józef, proboszcz, — Lutogniew, *W. Ks. Poznańskie.*
Wróblewski Nepomucen, — Gościeszynek, *W. Ks. Poznańskie.*
Żak Rozalja, — Gorzów, *Galicja.*
Zieliński X. Andrzej, proboszcz, — Gródek, *Galicja.*
Żurczak Jadwiga, — Karsznice, *W. Ks. Poznańskie.*
Zwierzański Karol, — Kozowa, *Galicja.*

Abgarowicz Julja, nauczycielka, — Lwów, *Galicja.*
Bała Stanisław, nauczyciel, — Piaski Wielkie, *Galicja.*
Domina Augusta, — Kępno, *W. Ks. Poznańskie.*
Dotkiewicz X. Stanisław, proboszcz, — Korytnica, *Królestwo Polskie.*
Dunajewski Feliks, — Hołosko Wielkie, *Galicja.*
Dydyńska Wiel. Matka Joanna, — Lwów, *Galicja.*
Dzieduszycki Andrzej hr. — Aksmanice, *Galicja.*
Forner Katarzyna, — Orzegów, *Górny Śląsk.*
Gawron Franciszek, — Łysina, *Galicja.*
Geltrowski Jan, — Lipiny, *Górny Śląsk.*
Giebaler Celestyna, — Kraków, *Galicja.*
Głuszkiewicz Karolina, — Mrzygłód, *Galicja.*
Grześkowiak Jan, — Kępno, *W. Ks. Poznańskie.*
Hajdukowa Helena, — Kuźmina, *Galicja.*
Hampf Konstanty, — Ryńska wieś, *Górny Śląsk.*
Helminowski Franciszek, — Babalice, *Prusy Zachodnie.*
Hoppe Ignacy, — Kostrzyn, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Jakubowicz Marcin, — *Poznań.*
Janus Urban, — Chrościce, *Górny Śląsk.*
Jordan Dr. Henryk, — Kraków, *Galicja.*
Koperska Filipina, — Kostrzyn, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Kostka Marja, — Turze, *Górny Śląsk.*
Kotlarz Marja, — Kraków, *Galicja.*
Kowal Franciszek, — Turze, *Górny Śląsk.*
Kowalski Stefan, — Colonia Corpus Missiones, *Argentyna.*
Kulosek Antoni, — Radzionków, *Górny Śląsk.*
Kupka Marceli, — Radzionków, *Górny Śląsk.*
Litryńska Józefa, — Lwów, *Galicja.*
Makowki X. Marcin, proboszcz, — Budzisław kościelny, *Królestwo Polskie.*
Masny Franciszek, — Wadowice, *Galicja.*
Mieloch Antoni, — Śrem, *W. Ks. Poznańskie.*
Mutz Joanna, — Radzionków, *Górny Śląsk.*
Mysik Konstanty, — Pewel Ślemieńska, *Galicja.*
Ogrodowska Łucja, — Parchanie, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Okrzesik Jan, — Łysina, *Galicja.*
Paulik Kazimierz, — Rohatyn, *Galicja.*
Piątek Józef, — Maków, *Galicja.*
Pienske Jan, — Ramelki, *Prusy Zachodnie.*
Sabatowski Jan, nauczyciel — Felsztyn, *Galicja.*
Skibowski Franciszek, — Wartembork, *Prusy Wschodnie.*
Sobótka Józef, — Babalice, *Prusy Zachodnie.*
Spinczyk Jan, — Lubliniec, *Górny Śląsk.*
Stanięda Marjanna, — Turze, *Górny Śląsk.*
Stanowski Leon, — Środa, *W. Ks. Poznańskie.*
Twarogowski Ignacy, — Górzno, *Prusy Zachodnie.*
Uliczka Franciszek, — Bieńkowice, *Górny Śląsk.*
Wędrzyk Kazimierz, — Polanka Wielka, *Galicja.*
Wojciechowska Antonina, — Kostrzyn, *W. Ks. Poznańskie.*
Wranik Agata, — Turze, *Górny Śląsk.*
Wysocka Franciszka, — Oświęcim, *Galicja.*
Ziemniewicz Wojciech, — Jarocin, *W. Ks. Poznańskie.*
Złotowicz Jan, — Czerniejewo, *Prusy Zachodnie.*
Żwaka Józef — Turze, *Górny Śląsk.*
Zygmanowski X. Alojzy, proboszcz, — Pokrzydowo, *Prusy Zachodnie.*

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków! Amen.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.
Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1907.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI. (Trento-Austria).